

HiTy mrówki

GRUPA
psb

MRÓWKA

PODRZECZE

OFERTA WAŻNA
od 19.12 do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.



52⁹⁹ zł
m²

**Panele laminowane
Dąb Brytania**

klasa ścieralności AC4.
grubość deski 10 mm, v-fuga



32⁹⁹ zł
m²

**Panele laminowane
Dąb Aspen**

grubość: 7 mm
klasa ścieralności: AC3



49⁹⁹ zł
m²

**Panele laminowane
Dąb Livorno**

grubość deski 8 mm
klasa ścieralności AC4



36⁹⁹ zł
m²

**Panele laminowane
Dąb Kreta**

grubość deski 8 mm
klasa ścieralności AC4

Podręczce 196, tel. 18 541 64 20, godz. otwarcia: pn.-pt.: 7⁰⁰ – 20⁰⁰, sob.: 8⁰⁰ – 18⁰⁰

HiTy mrówki

GRUPA
psb

MRÓWKA

PODRZECZE

OFERTA WAŻNA
od 19.12 do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.



12 mm

35⁹⁹

zł

szt.

Płyta OSB 3
KRONOPOL pióro-wpust

4-stronna, wym. 675x2500 mm
grubość 12mm



15 mm

49⁹⁹

zł

szt.

Płyta OSB 3
KRONOPOL pióro-wpust

4-stronna, wym. 675x2500 mm
grubość 15mm



18 mm

63⁹⁹

zł

szt.

Płyta OSB 3
KRONOPOL pióro-wpust

4-stronna, wym. 675x2500 mm
grubość 18mm



22 mm

79⁹⁹

zł

szt.

Płyta OSB 3
KRONOPOL pióro-wpust

4-stronna, wym. 675x2500 mm
grubość 22mm

Podręczce 196, tel. 18 541 64 20, godz. otwarcia: pn.-pt.: 7⁰⁰ – 20⁰⁰, sob.: 8⁰⁰ – 18⁰⁰

dts

24

19 grudnia 2023 | nr 16 (629)
gazeta bezpłatna nakład: 20 000*
*obejmuje dystrybucję
wersji elektronicznej



Pięknych świąt Bożego Narodzenia

**Święto miłości Boga
do człowieka**

» str. 4-5

**Jak chłopak z Sącza
został asystentem
Lema**

» str. 8-9

**Półsztuczny
słowniczek sądeckiej
inteligencji**

» str. 13

**Jak przeprowadzić
randkę z żoną na
rowerze**

» str. 14-15

Film o mocy, którą człowiek ma w sobie

» str. 16-17



TYGODNIÓWKA MARKA STAWOWCZYKA



Niewidzialna więź



Myśli na skraju niepewności i niezadowolenia towarzyszą mi od zawsze. I cudownie, że tak jest. Ileż to razy zasypiałem obok spokoju, z wiarą i nadzieją, by po przebudzeniu znaleźć proch i resztki kości na przeszcieradle. Kiedy zaś balowałem całą noc z wątpliwościami, rano odnajdowałem zawiniątko z roześmianym bobasem.

Ewa Novel podarowała mi kolejny wspaniały prezent – i znowu trafiony. „Niewidzialna więź” to ten rodzaj utworu, który słucha się sercem, który jest jego biciem, który dotyka i jest dotykiem. Magią od pierwszego

do ostatniego zasłuchania. Ale który ze względu na nabity drzazgami kontent, zawrócił mnie do momentu szczególnego, którego nie sposób tak po prostu stracić z pamięci. 9 lipca 2021 roku. Amfiteatr Parku Strzeleckiego. „Tribute to Niemen”. To tam i wtedy zaliczyłem totalny emocjonalny nokaut imponującą interpretacją „Terra Deflorata”. Stałem w fosie – pstrykałem fotki, ale akurat przy Novel jakoś nie mogłem. Nie dało się. Wtedy też po raz pierwszy doświadczyłem sytuacji, kiedy artysta kończy, schodzi i widać ten przeogromny wysiłek – te liny i bloki skalne, te wagony z węglem. Czy

było warto? Oczekiwania wszystkich spełnione z nadstatkiem, ale czy wobec samej siebie?

Myśli na skraju niepewności i niezadowolenia towarzyszą mi od zawsze. I cudownie, że są. To właśnie w wątpliwościach tkwi clou prawdziwej relacji między prawdziwym autorem a prawdziwym dziełem, prawdziwym artystą a prawdziwą publicznością. Dzięki nim można tworzyć, doskonalić się, tańczyć na grobach wczorajszych pragnień i iść dalej. Osobno i razem. Chcąc i nie chcąc. Tak i nie.

„Niewidzialna więź” to ten rodzaj utworu, który słucha się sercem, który jest jego biciem, który dotyka i jest dotykiem

KARTKI Z KALENDARZA

22 GRUDNIA

(1958) We wsi Stróże k. Grybowa po raz pierwszy zapłonęła żarówka elektryczna. Głównym inicjatorem elektryfikacji Stróż był wywodzący się z tej miejscowości wojewódzki pianista Adam Wiatr. Do tego momentu na węzłowej stacji PKP Stróże posługiwano się światłem gazowym i naftowym, a we wsi lampami naftowymi i karbidowymi.

23 GRUDNIA

(1895) W Jodłowniku urodził się inż. Jan Drożdż – twórca Górskiej Szkoły Rolniczej, który wspólnie z Józefem Markiem tworzył Spółdzielnię Mleczarską, a w 1935 doprowadził do uruchomienia Pierwszej Karpackiej Serowni. Zmarł w 1955 roku.

24 GRUDNIA

(1933) Otwarto pensjonat „Patria” w Krynicy, którego właścicielem był najsłynniejszy polski śpiewak operowy Jan Kiepura. Na budowę „Patrii” przeznaczył on astronomiczną na owe czasy kwotę kilkuset tysięcy dolarów (3,20 dolara za m kw. działki). W 1958 mieszkający w USA Kiepura odwiedził Polskę, jednak komunistyczne władze nie zezwoliły, by mógł spędzić noc w swoim własnym pensjonacie.

28 GRUDNIA

(1880) W Przyszowej urodził się Tytus Czyżewski – malarz, teoretyk sztuki, współzałożyciel ugrupowania Ekspresjonistów Polskich przekształconego w grupę Formistów, współtwórca klubów futurystycznych Katarynka i Galka Muszkatolowa, poeta, autor pastorałek. Zmarł 5 maja 1945 roku w Krakowie. (w)

REKLAMA

REKLAMA

Partnerzy wydania:





Cudów nie ogłaszamy, czyli w sądeckiej ciszy

Wojciech Molendowicz
Z gór widać lepiej

Jak być może niektórym wiadomo, raz w roku zwierzęta mówią ludzkim głosem. U źródeł dobrze poinformowanych zacerpnęliśmy wiedzy, że dzieje się to w noc wigilijną. Czyli niebawem. W Nowym Sączu oczywiście aż takich świątecznych cudów nie oczekujemy, choć ciekawie nastawilibyśmy ucha, co miałby nam do powiedzenia np. taki Dżeki. Nasze oczekiwania są dużo skromniejsze i mniej wyrafinowane niż nasłuchiwanie opinii rybek akwariowych o jakości powietrza w regionie. Gdybyśmy jednak mogli mieć jakies świąteczne życzenie, to byłoby ono dużo bardziej ubogie, ubożuchne wręcz, proste w formie, choć i tak od dawna niemożliwe do zrealizowania. Byłoby cudownie, gdyby przynajmniej raz w roku to ludzie w Nowym Sączu przemówili ludzkim głosem. Albowiem kiedy ich oglądamy, czytamy i słuchamy w różnych przekazach, to zazwyczaj na siebie szcękają, warczą, podgryzają, ujadają, wierzgają i kopią. Pewnie nie jest to wyłącznie sądecka

specjalność, ale akurat tutaj szczególnie mocno odczuwalna. Miasto żyje bowiem (jakby to powiedział uczonego w piśmie) w oddzielnych bańkach, a schowane pod kloszami światy kompletnie się ze sobą nie przenikają. My powiedzielibyśmy bardziej po naszymu, po robotniczymu: Nowy Sącz żyje w plemiennych rezerwach. A kiedy już rezerwy się ze sobą komunikują, to najczęściej przez obrzędy wojenne np. wylewając tym drugim na głowy roztopioną smołę wprost z murów obronnych. Obojętne zresztą, co kto komu i jakim narzędziem zadaje, ale z pewnością ludzkim głosem nikt przy tym nie gada.

Wtajemniczeni wiedzą, że każde z sądeckich plemion do osobnego teatru chadza. I choć obydwie nazywają się tak samo, to nawet

historycy scen polskich nie mogą dojść do ładu, który teatr jest tym właściwym, a który tylko podróbą i uzurpatorem. Jeśli więc w tę wigilijną noc ludzie w Nowym Sączu nie odważą się mówić ludzkim głosem, to niebawem obok dwóch teatrów możemy mieć np. dwa kluby piłkarskie. Każdy będzie miał swoją Sandecję, a kibice w białoczarnych szalikach będą udowadniać tym drugim, że tylko oni są prawdziwi i na swoim miejscu. Oczywiście wylewając im na głowy roztopioną smołę (taka przenośnia). No i nawet jeśli się trochę świątecznie rozpedziliśmy, a wyobraźnia zniosła nas nieco na manowce, to cudów w Nowym Sączu w tę wigilijną noc spodziewać się nie należy. Nawet jeśli gdzieś w oddali usłyszymy wesołe śpiewanie: „Cuda, cuda ogłaszają”. Wszędzie ogłaszają, ale u nas akurat nie.

Nowy Sącz żyje w plemiennych rezerwach. A kiedy już rezerwy się ze sobą komunikują, to najczęściej przez obrzędy wojenne np. wylewając tym drugim na głowy roztopioną smołę wprost z murów obronnych

Korespondencji ciąg dalszy

Jakub Marcin Bulzak
Pije Kuba do Jakuba

Rok temu przed świętami napisałem list do Dzieciątka. Jakież było moje zdziwienie, gdy parę dni temu listonosz przyniósł mi odpowiedź! A jeszcze bardziej zdziwił mnie ton listu:

Kochany Jakubie, dziękuję za Twój list, ale mam już serdecznie dość próśb, by traktować Was na Ziemi, jak pionki na szachownicy, by za Was myśleć, za Was działać, wszystko za Was załatwiać. Czy to poważne, by dorośli ludzie zrzucali tyle spraw na barki Nowonarodzonego?

Narzekacie na polityków, władze się Wam nie podobają... A ktoś się zaangażował, wystartował, dał się wybrać? A wszyscy poszli

głosować? Ja nie mam 18 lat – nie mogę kandydować!

Zachowanie młodzieży się Wam nie podoba... A to Ja ich wychowuję?

Tyle wojen, głód, bieda, bezdomni, chorzy, dzieci w Afryce umierają z pragnienia? Ja strzelam? Ja zabieram jedzenie? Ja eksmituję? Ja kazałem kongijskim dzieciom kobalt własnymi rękami wybierać z ziemi?

Zachowanie niektórych duchownych i wiernych się Wam nie podoba... Skoro nie słuchają tego, co powiedziałem jako dorosły, to posłuchają tego, co powiem jako Dzieciątko?

Skarżycie się na hejt w sieci, patostreamerów... Ja nie mam dostępu do Internetu, więc nawet nie mogę ich zgłosić administratorowi. A jako małoletni nie mogę złożyć zawiadomienia do prokuratury.

Mówicie: „Na takim świecie nie da się żyć!” Ja 2000 lat temu stałem się Człowiekiem. Może najwyższy czas, żebyście Wy stali się ludźmi?

I ogarnijcie się wreszcie!

Z poważaniem

Dzieciątko

LICZBA ROKU

Czytelnikom DTS gratulujemy dobrego gustu! Wybierając DTS i dts24 stawiacie na najlepsze treści w regionie.

Sobie gratulujemy Czytelników. Jesteście najlepsi! Po ostatnie wydanie naszej gazety w wersji papierowej i elektronicznej sięgnęło

26 873 osób.

To zaszczyt móc dla Was pisać!

CYTAT ROKU

Poseł i spółka

Były poseł Prawa i Sprawiedliwości Jan Duda w rozmowie z Regionalną Telewizją Kablową zapytany czy prawdą jest, że po zakończonej kadencji otrzyma intratne stanowisko w jednej ze spółek skarbu państwa:

„Ja wiem, jak zarabiać pieniądze. Jak chcę pracować w spółce, to sobie ją zakładam”.

REKLAMA

REKLAMA



wikar.pl

Partnerzy wydania:





Boże Narodzenie to święto miłości Boga do człowieka

»→ Rozmawia Katarzyna Kachel

Jezus urodzi się pod bombami w Strefie Gazy, między poranionymi dziećmi i kobietami cierpiącymi w Ukrainie, w okopach. Urodzi się wszędzie tam, gdzie jest człowiek. W tym jest Jego miłość i wierność – mówi pochodzący z Muszyny o. prof. TOMASZ HOMA SJ, rektor Uniwersytetu Ignatianum, jezuitkiej uczelni w Krakowie

– Dla mnie Boże Narodzenie to święto podwyższenia i uznania rangi człowieka. Czym jest dla Ojca?

– Dla mnie jest świętem miłości i wierności Boga do człowieka i Jego zaproszeniem do tej miłości i wierności, skierowanym do nas, ludzi. Miłości, bo Bóg dzieli się sobą, a najpiękniejsze w tym akcie jest dzielenie się nie tylko tym, co posiada, ale tym kim jest. Stając się człowiekiem i godząc na trudną i mocno uwiklaną rzeczywistość, wychodzi nie tylko naprzeciw naszym słabostom, ułomnościom, ale też uznaje z szacunkiem, kim człowiek jest. W narodzinach Bożych dostrzegam też akt wierności Pana Boga względem nas i spełniania obietnicy, że zostaniemy odkupieni. W dniu Narodzenia Matki Bożej pierwsze czytanie pochodzi z Księgi Rodzaju. Bóg odzywa się w nim do kusiciela słowami: „Jej potomstwo zmiążdży twoją głowę”. Narodzenie Jezusa jest tego wyzwolenia nas, wygnanych, lecz nie porzuconych, początkiem. Bóg bowiem nawet wtedy, kiedy

– według Biblii – wygania pierwszych rodziców z biblijnego raju, wcześniej sporządza im ubranie. Nie porzuca Adama i Ewy, ale daje im coś, co będzie ich chronić i pozwoli przetrwać w tym życiu, które będzie bardzo trudne. Jest w tym obdarowaniu troska Boga o człowieka i wierność stworzeniu, które powołał z miłości. Jest w nim iskra światła i nadziei, które w Jezusie znajdują swoje spełnienie dla każdego z nas. Odpowiadamy na nie nierządkiem odrzuceniem, lekceważeniem, robimy to nadal, a On wciąż nas szuka, wciąż do nas przychodzi. Boże Narodzenie dokonane raz, dokonuje się przecież cały czas, w Jego różnorodnym przychodzeniu do nas.

– Dlaczego Bóg stał się człowiekiem?

– Odpowiedź daje sam Bóg poprzez sposób, w jaki do nas przychodzi. A przychodzi na sposób miłości, przychodzi z miłości i tą miłością się z nami dzieli. Najgłębszy tego wyraz, który dostrzegam w tym wydarzeniu, to fakt, że Druga Osoba Boska, zjednoczona w miłości z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym, tak przedziwnie jednoczy się w Jezusie z nami, stając się człowiekiem. Bóg staje się jednym z nas. W naturze miłości jest dzielenie się i jest to dzielenie życiodajne, odbudowujące relacje. I to się właśnie dokonuje. Jeśli bowiem w powołaniu nas przez Boga do istnienia staliśmy się Bożym stworzeniem, to dzięki przyjsciu Jezusa, poprzez

Jego wcielenie i odkupienie, które dzięki temu się dokonuje, stajemy się w Jezusie tego Boga – Miłości dziećmi. I jest w tym ubóstwienie nas przez tak kochającego nas Boga i na Jego sposób podniesienie nas do takiej godności. Ale to nie wszystko, co Bóg ma dla nas, czym z nami chce się podzielić. Św. Jan powie w swoim „Pierwszym Liście”, że wiemy, kim jesteśmy teraz, dzięki – dopowiem – również temu Bożemu narodzeniu, mianowicie „dziećmi Bożymi” (1J 3,2). Ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy, kiedy Go zobaczymy twarzą w twarz, takim jakim jest, gdy się objawi, i „będziemy do Niego podobni”, jak zapewnia św. Jan. Jeszcze przed nami jest coś, co pozostaje nam teraz nieodwołalnie, okryte tajemnicą, lecz już zapowiedziane.

– Powiedział Profesor „ubóstwienie”. Czy arogancją byłoby stwierdzenie, że Bóg stał się człowiekiem, byśmy mogli stać się Bogiem.

– Nie ująłbym tego tak. Nie stajemy się bogami, pozostajemy cały czas ludźmi, ale zostajemy podniesieni do godności dziecka Bożego – kogoś, kogo Bóg nie tylko wyzwolił i z kim odbudował zerwane przez nas, ludzi, relacje, ale też w miłości przygarnął jak Rodzic własne dziecko, wprowadzając nas w tego rodzaju bliskość, której jakimś błędym obrazem jest bliskość kochających się rodziców i dzieci. A odpowiadając na pani pytanie, powiedziałbym,

Decyzja wiary jest sprawą głęboko ludzką i boską, dokonuje się tam, gdzie czasy nie odgrywają jakiejś znaczącej roli. Jest z nią w pewnym sensie jak z miłością, której tak bardzo pragniemy, a zarazem tak trudno jest nam jej zawierzyć

nawiązując do św. Jan Ewangelisty, że Bóg stał się człowiekiem, abyśmy mogli stać się podobnymi do Niego, który jest Bogiem. I który Bogiem pozostanie, nawet wtedy, kiedy w Jezusie dzieli z nami człowieczeństwo. I który równocześnie dzieli się z nami swoim bożym życiem.

– To wcielenie mogło być dla ludzi nieprzyjmowalne?

– Na pewno szokujące i niewyobrażalne. Rodzące napięcie, aż po sprzeciw i skazujące potępienie. I napięcie to, które z tego wynikało, jest odczuwalne na kartach Nowego Testamentu. Pojawia się między prawowiernymi wyznawcami judaizmu a Jezusem czy później uczniami Jezusa. Bo jak to możliwe, że Bóg stał się człowiekiem, jak mógł się tak zniżyć. To wydarzenie nie mieści się w głowie i powoduje tarcia, rodzi niezrozumienie i zgorszenie, a w konsekwencji odrzucenie tajemnicy wcielenia. Współcześni Jezusowi wierzyli, że przyjdzie Mesjasz, który ich wyzwoli, ale rozumieli go jako wybrańca, który będzie jednym z nich, będzie człowiekiem, i wyzwoli ich spod panowania okupanta. A prawda wcielenia była taka, że przyszedł nie tylko prawdziwy człowiek, ale też prawdziwy

Bóg i przyszedł, aby wyzwolić, ale nie od Rzymian lecz od tego, który zniewolił nas w naszych sercach i dzierzył nad nami swoją śmiertelnością władzę. To zderzenie było szokujące i wstrząsające.

– Jezus w Ewangelii nazwany jest Słowem, które stało się ciałem i zamieszkało, czy tłumacząc dosłownie rozbiło namiot, między nami. Dlaczego jest to stajnia?

– Dlaczego? Nie wiem. Być może odpowiedź na to pytanie ukryta jest w Prologu Ewangelii św. Jana, do którego pani nawiązuje, a który zaczyna się od słów: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo” i „świat stał się przez Nie”, a Jezus, który jako człowiek rodzi się pośród nas, jest właśnie tym przedwiecznym a zarazem wcielonym Słowem. Jak wiemy, na słowach tych Prolog ten się jednak nie kończy. Przeciwnie, jeśli kontynuujemy jego lekturę, doprowadza nas on do dramatycznego wyznania, że Słowo to „przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli”. Być może zatem owa stajnia czy też grotta, u początków ziemskiego życia Jezusa, a u jego kresu krzyż... – szczególnie dramatyczny znak odrzucenia

Bóg szuka nas i rodzi się tam, gdzie jesteśmy. Lecz czy my Go przyjmujemy w stajence naszego życia, czy zechcemy Go w niej powitać, to już kwestia naszej decyzji i wyboru

REKLAMA

*W ten szczególny czas,
Błogosławionych Świąt Bożego Narodzenia.
Aby obfitował w radosne, spędzone w rodzinnej atmosferze chwile,
a Nowy 2024 Rok, niech obdaruje Was
zdrowiem oraz wszelką pomyślnością.*

**W imieniu Załogi
życzy Państwu Mariola Pawlak - Prezes Zarządu**

Tukan
Centrum Rehabilitacji



Partnerzy wydania:





Go przez nas, ludzi – swoich, do których przyszedł, są kluczem do znalezienia tej odpowiedzi. A może zrozumienie tego faktu przyjscia Słowa na świat w takich okolicznościach przybliży nam Ewangelia św. Łukasza, według której „nie było dla nich miejsca w gospodzie”. Z jakich powodów? Ewangelia tego nie podaje. Pozostają zatem pobożne domysły. Znamy je. Może też odpowiedź na to pytanie podpowiada nam „List św. Pawła do Filipian”, w którym czytamy, że Jezus, istniejąc w postaci Bożej, [...] ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi” (Flp 2,6-6). Dlaczego stajnia? Chyba jedynie Bóg to wie. My zaś tylko niejako poszlakowo staramy się dociec znaczenia tego wydarzenia, które się dokonało z Jego woli i Jego mocą, którą jest Jego bezwarunkowa i bezgraniczna miłość, dostępna każdemu jak owa grotka czy stajnia.

– Co nam przeszkadza w przyjęciu Boga, przyjęciu Jego narodzenia.

– Każdy powinien sam sobie na to odpowiedzieć, bo wiąże się to z naszymi osobistymi decyzjami. A te mogą być uwarunkowane różnymi rzeczami, choćby niezgodą na rzeczywistość, na nasze w niej miejsce. Na to, że jesteśmy ludźmi, a chcemy być bogami. Czy nie chcemy zrywać jak Adam i Ewa owoce z drzewa poznania dobra i zła, czy też sięgnąć nieba budując własne wieże Babel? Pragnienie ubóstwienia jest w nas mocne i żywe. Bóg go nie odrzuca, tylko oczyszcza i przemienia i prowadzi nas po swojemu, do udziału w Jego życiu i boskości. Boże Narodzenie jest częścią tego Jego pomysłu, który ma względem nas. Sądzę, że na liście przeszkód utrudniających nam przyjęcie Boga ważne miejsce zajmuje też antyświadection jak nie rzadko jest dawane przez nas, chrześcijan.

– Dziś trudniej przyjąć Boga niż przed dwu tysiącami lat?

– Każde czasy mają swoje wyzwania, tak jak mają je czasy prześladowań, wojen, czy innych zmagani, tak samo mają je czasy dobrobytu i spokoju. Równie trudno było wtedy, jak i jest



FOT. KAMIL KOZŁUCH

– Być może będziemy mieli choinkę i zobaczymy się z rodziną, co jest bardzo ważne, ale jeśli tylko na tym pozostaniemy, nie przeżyjemy jego dobrej dla nas nowiny – mówi o. prof. Tomasz Homa SJ.

dzisiaj. Napięcie między Jezusem i tymi, którzy za nim poszli, a resztą wspólnoty wywodzącej się z łona judaizmu, było trudne i bolesne. Odrzucenie Go spowodowało rozłam. Trudno było przyjąć Jezusa jako Boga Człowieka, bo trudno było Jemu współczesnym zrozumieć, kim On naprawdę jest, i to jest wyczuwalne także na karatach Nowego Testamentu. Kiedy czytamy go uważnie, widać to wyraźnie; czy Jezus z Nazaretu to człowiek wybrany przez Boga, prorok, czy Bóg Człowiek. I dziś też stanowi to dla niejednego z nas trudność, choć napisano na ten temat wiele dzieł i mamy świadectwa tych, którzy spotkali Zmartwychwstałego. Decyzja wiary jest sprawą głęboko

ludzka i boska, dokonuje się tam, gdzie czasy nie odgrywają jakiejś znaczącej roli. Jest z nią w pewnym sensie jak z miłością, której tak bardzo pragniemy, a zarazem tak trudno jest nam jej zawierzyć.

– Żyjemy w czasach wielu kryzysów, wojen; w strefie Gazy czy w Ukrainie. Gdzie urodzi się dziś Jezus?

– Urodzi się wszędzie, pod bombami w Strefie Gazy, między poranionymi dziećmi, kobietami, cierpiącymi w Ukrainie, w okopach. On rodzi się wszędzie tam, gdzie jest człowiek – tam do niego przychodzi. A człowiek XXI wieku i 2023 roku jest bardzo pokiereszowany i pogubiony. Wojny toczą się w wielu miejscach na świecie, ludzie muszą

ze względu na susze, powódzie, przemoc, walki, głód opuszczać swoje domy i szukać innego miejsca do życia. I pośród nich też się narodzi się – sam był uciekinierem, kiedy Józef z Marią i z Nim musieli uciekać do Egiptu, żeby uniknąć knoń Heroda. Będzie się rodził w naszym ludzkim życiu w różnych miejscach. Tą biblijną stajenką może być dzisiaj sala porodowa, obóz uchodźczy, więzienie, ale też stół wigilijny, rodziny zgromadzone wokół niego, i szereg innych miejsc. Bóg szuka nas i rodzi się tam, gdzie jesteśmy. Lecz czy my Go przyjmujemy w stajence naszego życia, czy zechcemy Go w niej powitać, to już kwestia naszej decyzji i wyboru.

– Czyli będzie to też narodzenie w bólu.

– Ból jest częścią kondycji ludzkiej. Jest niejako wpisany w nasze istnienie. Nie chcę gloryfikować bólu, nie o to chodzi, ale, czy tego chcemy czy nie, on nam towarzyszy. Nie tylko nam, Jezus w Ogroju prosi Ojca słowami: oddał ode mnie ten kielich, wiedząc, co ma się wydarzyć, i jakie to będzie bolesne. Czy to narodzenie się Boga dzisiaj, Jego uobecnianie się pośród nas, ludzi XXI wieku, dokona się też w bólu? Tak. Wierzę bowiem, i o tym już mówiłem, że Bóg przychodzi do nas wszędzie tam, gdzie faktycznie, a nie życzeniowo, jesteśmy. Te wszystkie miejsca i sytuacje życiowe przed chwilą wspomniane, czyż nie są przepełnione bólem tych, którzy ich doświadczają? I to bólem, nie rzadko, aż do szpiku kości.

– Czy my potrzebujemy do tego spotkania rytuału?

– Jesteśmy istotami nie tylko racjonalnymi, ale też symbolicznymi. Symbol przywołuje czy ułatwia nam rozumienie i przeżywanie czegoś, co jest jakoś zakryte, do czego dosyła, albo kryje dużo więcej niż możemy pojąć. Symboliczność, rytuał, jak choćby Wigilia przy wspólnym stole, temu służy. Rytuał, który kształtuje się na bazie doświadczenia, czerpiąc z niego, przywołuje jego najgłębszy sens, ale jeśli w tym symbolizmie zagubimy jego sensowność przesłanie, to staje się rytuałem pustym. To dotyczy także

naszego przeżywania Bożego Narodzenia. Być może będziemy mieli choinkę i zobaczymy się z rodziną, co jest bardzo ważne, ale jeśli tylko na tym pozostaniemy, nie przeżyjemy jego dobrej dla nas nowiny. Zginie nam z pola widzenia serce świąt, spotkanie Boga z nami, który jak pasterze jesteśmy zapraszani by pójść do stajenki. To jest sens tych świąt, dzięki któremu ta reszta nabiera głębi. Bez tego zostanie nam tylko kulturowe doświadczenie o polskim zabarwieniu. Miałem możliwość przeżywania Wigilii i świąt Bożego Narodzenia w wielu miejscach, choćby we Włoszech, Niemczech czy Irlandii. I to były „inne świąty”, gdy chodzi o zwyczaj i rozłożenie w nich akcentów.

– Łamią się tam opłatkiem?

– Nie, to polska tradycja. Ale też chcę powiedzieć, że te „inne świąty” nie były przez to „gorsze”. Były w tym aspekcie odmienne, bo też w innych kontekstach kulturowych i tradycjach zostały ukształtowane. Lecz pomimo tej inności pozostawało to, co nas łączy i jest niezależne od geografii, mianowicie wydarzenie Bożego narodzenia.

– Jakie były i są tradycje w domu rodzinnym Ojca w Muszynie.

– Było bardzo tradycyjnie i tak nadal jest. W Wigilię odbywa się przedpołudniowe ubieranie choinki, którą zwykle stroją dzieci, dla dorosłych to czas przygotowania wieczerzy. Pod obrusem jest zawsze garść siana, na stole opłatek, jest miejsce dla wędrowca. Kiedyś modlitwę rozpoczynał dziadek, z czasem przejęli ją rodzice. Dziadek, jak pamiętam, odmawiał bardzo poetycką okolicznościową modlitwę. A potem, składaliśmy sobie, i dzisiaj nadal składamy, życzenia, dzielimy opłatkiem, jest dwanaście potraw, śpiewanie kolęd i pasterka o północy.

– Wierzy się, że tak jak jest w Wigilię, będzie przez cały rok?

– Tak. Niech będzie więc ciepło, rodzinie i niech to religijne doświadczenie uda nam się zobaczyć w szerszych ramach, miłości i wierności Boga do każdego z nas.

REKLAMA



Mieszkańcom Miasta i Gminy Bobowa oraz ich bliskim i gościom życzę radosnego przeżywania Świąt Bożego Narodzenia. Niech Święta będą niezapomnianym czasem spędzonym w ciepłej, rodzinnej atmosferze bez pośpiechu, trosk i zmartwień, a nadchodzący Nowy 2024 Rok będzie pełen sukcesów, zrealizowanych marzeń i udanych przedsięwzięć.

Wacław Ligęza
Burmistrz Bobowej

Partnerzy wydania:





Pamiętnik motocyklowy

»→ Przemysław Oberżyświat Osuchowski

Choć podróżują najczęściej pojedynczo, tworzą fascynującą wspólnotę motocyklowych nomadów XXI wieku. Szukają końca świata. Tego umownego. Bo świat, w którym tkwią na co dzień, im nie wystarcza. Tylko jak na ten koniec się dostać? Nie dotrze tam biuro podróży, nie doleci samolot, nie dopłynie statek, nie dojedzie samochód, ani kolej. Ale Honda Africa... czemu nie? Niezawodny motocykl wyprawowy, wierzchowiec naszych czasów, zwycięży z każdym człowiekiem, z każdym wierzchowcem, a tym bardziej z każdym pojazdem. Pokona piach i kamienisko, rzekę i śnieżne zasy. Wjedzie na niezdobyte przełęcze, przebrnie błota. Niestraszny mu wichur, ulewa, żar ani mróz.

Uciekający od cywilizacji motocykliści podążają za mitem. Bywa, że docierają na kraniec świata, lub do jego początku. Bo ich wyzwaniem jest widnokrąg. Towarzyszę ich marzeniom od prawie dwudziestu lat. Na ogół samochodem terenowym. Zawsze z aparatem fotograficznym. Staram się za nimi nadążyć. A jeżdżą piekielnie szybko...

Fotografiapierwsza

To stare zdjęcie. Ma ponad 15 lat. Przez wodę gna Sambor. Kto interesuje się wyprawami motocyklowymi, wie o kogo chodzi. Sambor to jeden z polskich pionierów ekstremalnych wypraw na dwóch kołach. Stworzył „fabrykę marzeń”, czyli ADVFACTORY.COM. Zaczynał wokół Krakowa i na Dolnym Śląsku. Ale ciasno mu było. Więc szybko spenetrował Rumunię, Ukrainę, Kaukaz. A potem... kilka razy dookoła świata. Przełomem było jednak Maroko – przedsiónek Afryki. Bo tam się właśnie ta pasja zaczęła, na Rajdzie Dakar. Świat drgnął w posadach w 1979. Wtedy po raz pierwszy rajdowcy zmierzili się z trasą Paryż – Dakar. No i każdy fan tej przygody, chciał mieć ciężki motocykl „wszystkomający”. Dakar wygrywały najczęściej Hondy Africa Twin. Narodził się kult...

W czasach przedinternetowych poznawali się raczej przypadkowo. Gdzieś w trasie. Ale szybko wspólnotowość zaczęła się rozwijać w sieci. Paweł Grzywalski pierwszą Africę kupił w 2003 roku i na przełomie 2003/04 założył internetowe forum Africa Twin Poland. Pod nickiem Puff wraz z Madzikiem (czyli Magdą) zarejestrowany jest do dziś pod numerem pierwszym. Africanerzy wszystkich krajów łączą się skutecznie. Po paru miesiącach na pierwszym zjeździe w Firleju na Lubelszczyźnie było już 50 motocykli. Dzisiaj na spotkaniach forumowiczów motocykli bywa kilkaset. Nie są zazdrośni. Życzliwie tolerują posiadaczy BMW i KTM. Nie zamykają się w narodowych rezerwach – na spotkaniach Africa Twin Poland są goście z kilku kontynentów. Polscy motocykliści bywają na zjazdach na całym globie.

Sambor i przyjaciele przywozili z wypraw sporo zdjęć. Zwykle był na nich motocykl zaparkowany na tle niesamowitego krajobrazu. Pytali mnie, jak te zdjęcia wykorzystać? Moim zdaniem stojąca Africa, jest warta tyle co wierzowiec w stajni. Postanowiłem wybrać się z nimi w świat. Pojechaliśmy do... Chin. Na kołach. Tak się zaczął mój udział w ADVFACTORY.COM. I wtedy powstało to zdjęcie. Był rok 2008.



Fotografia druga

Niektórzy w piątek po pracy wrzucają do kufra karimatę, śpiwór, może jakiś namiot, coś na deszcz i ruszają. Przed siebie. Motocykl polyka kilometry. W sobotę jedzą śniadanie w rumuńskim Muramareș, węgierskim Egerze, czeskim Krumlowie, litewskich Kiejdanach, ukraińskim Chocimiu. W niedzielę karpacka Transalpina, słowacki Poprad, austriacka Dolina Wachau, lub rajd dookoła Bornholmu. W poniedziałek grzecznie meldują się w pracy.

Można też inaczej, w styczniu planują trasę, kompletują i analizują mapy i zdjęcia satelitarne. W lutym decydują z kim i dlaczego. W marcu zaczynają załatwiać wize, bilety lotnicze i morskie. W kwietniu „organizują” przy pomocy (lub jej braku) ambasad i „tych, co wiedzą” cywilne i wojskowe zezwolenia na wjazd w regiony zmilitaryzowane lub strefy konfliktów i wymieniają setki maili z innymi włóczęgami. W maju rozkładają pojazdy i ruchome wyposażenie na czynniki pierwsze, czyszczą, regenerują, naprawiają, konserwują i składają do kupy. W czerwcu jeszcze w domu przyzwyczajają swą nędzną powłokę do spania na (kolejno) dywanie, podłodze, balkonie. W lipcu decydują, czy wołać chińskie zupki, czy liofilizowane potrawy dla alpinistów. Wreszcie wysyłają motocykle i bagaż do docelowego portu kolejowego, lotniczego, morskiego. 1 sierpnia w pierwszym dniu urlopu lecą, płyną, jadą. A potem już „w siodle”

Partnerzy wydania:



przedzierają się przez bezdroża Kirgistanu, Pakistanu, Maroka, Nepalu, Afganistanu, Boliwii, Islandii, Alaski, Kamczatki. A 1 września podwijają zarekawki i wracają do cywilizacyjnej mordegi. Ale przez kilka następnych miesięcy myślami są jeszcze tam skąd wrócili... Daleko stąd.

A że urlop bywa krótki, mało komu udaje się dojechać na koniec świata na kołach. Motocykle wysyłają wcześniej na samochodowej lawecie, w ciężarówkach, lub w okrętowych kontenerach. Bo największa przyjemność jest, gdy jeździsz na swoim motocyklu. Te z wyposażalnią to jednak co innego...



Fotografia trzecia

Romantyzm jest jeszcze ciągle tam, gdzie nie dotarła cywilizacja. Świat jest zatłoczony. Ale ciągle można znaleźć prawdziwe bezludzie. Mongolski step. Alaskańska tundra. Saharyjską nieskończoność piaszczystej pustyni. Boliwijski płaskowyż. Tam można poczuć prawdziwy wiatr we włosach. Bez ludzkich osad. Bez cywilizacji. Bez asfaltu. Bez turystycznych re-sortów. Bez całej tej macdonaldyzacji. Bez kibiców.

Jesteś tylko ty, twój pojazd i bezkres marzeń. Sam wobec epickiej przyrody. To zdjęcie powstało w Tadżykistanie. Do najbliższej wsi, do najbliższej stacji benzynowej... kilka godzin jazdy. Czasami żal, że to aż tak daleko od domu i rodziny. Ale może właśnie dlatego tak pięknie...



Fotografia czwarta

Przeważają mężczyźni. To męska, twarda przygoda. Załadowany sprzętem i zatankowany motocykl waży ponad 300 kilogramów. Jeżeli pasażerów jest dwoje, to już mamy pół tony. Ale kobiety radzą sobie na motocyklu nie gorzej. Choć dziwią się czasem, że dla innych wyprawowiczów nie są miłym uzupełnieniem, ale pozbawionym płci partnerem. Znam i takie, które męską adorację potrafią skwitować mocnym ciosem. Zdarzają się też grupy czysto damskie. Słyszeliście o polskich „orlicach”? Poszukajcie w internecie. Gnąją przez świat z prawdziwie męską fantazją. Są absolutnie wszędzie.

Na motocyklowym szlaku spotykam też pary na jednym pojeździe. Wiele takich duetów realizuje nie tylko wakacyjne trasy. Wielomiesięczne podróże dookoła świata, to wbrew



Towarzyszę ich marzeniom od prawie dwudziestu lat. Na ogół samochodem terenowym. Zawsze z aparatem fotograficznym. Staram się za nimi nadążyć. A jeżdżą piekielnie szybko...

pozorom nic oryginalnego. Wiek również wcale nie ogranicza. Towarzyszyłem parom, które były właśnie w podróży poślubnej, ale i takim, które chciały uczcić trzydziestą rocznicę ślubu.



Fotografia piąta

Na początku towarzyszyłem im jako dokumentalista fotograficzny. Szukałem dynamicznych kadrów, prędkości, sportowej ekwilibrystyki. Czasami służyłem pomocą. Gdy była niezbędna. Z biegiem lat zdobyłem nowy zawód i przy okazji hobby. Na czym polega moje wsparcie? To, że dzielę się podróżniczym doświadczeniem, to truizm. Oczywiście bywa, że jestem pilotem, wyznaczam trasy i pilnuję by się nie pogubili. Przede wszystkim jednak jestem wsparciem logistycznym. Samochodem terenowym wożę ponadgabarytowy bagaż oraz mobilny warsztat motocyklowy. Na wertepach popsuć się ma prawo absolutnie wszystko. W ostateczności ładuję niesprawną maszynę na pakę. Nie lubię tego, bo nie mam wtedy gdzie... spać.

Jestem też ratownikiem medycznym. Wypadki zdarzają się wszystkim pojazdom i wszystkim kierowcom. Jeżeli jakiś motocyklista powie wam, że się nie przewraca, to kłamie. „Gleby”

zaliczają absolutnie wszyscy. Też kilka razy poczułem ten ból. Dlatego wołę kola cztery. Na wyprawach ekstremalnych do szpitala jest zawsze daleko. Zdarzało mi się jechać z „pacjentem” setki kilometrów. Z drobniejszymi kontuzjami radzimy sobie sami. Motocykliści niestety zbyt łatwo łamią sobie żebra i obojczyki. Prawdziwe tragedie zdarzają się na szczęście bardzo rzadko...



ZDJĘCIA: PRZEMYSŁAW OBERŻYSWIAT OSUCHOWSKI

CIĄG DALSZY OPowieści ZNAJDZIESZ W ODCINKACH NA DTS24.PL

Przemysław Oberżyswiat Osuchowski

kiedyś penetrował Polskę i świat jako reportażysta. Był pierwszym laureatem Polskiego Pulitzera. Potem przez dekadę produkował programy telewizyjne, z kamerą pracował na sześciu kontynentach. Teraz z pasją wóczy się po świecie i zabiera turystów do miejsc nieoczywistych. Pisuje już tylko hobbystycznie. Z aparatem fotograficznym i plecakiem przemierzył ponad 80 państw, w każdym z tych krajów spędził co najmniej 4 tygodnie. Uważa, że krótsze podróże (nie mylić z wakacjami) nie mają sensu. W sumie spędził 15 lat w drodze, z tego ponad trzy w pozostałościach po Związku Radzieckim. Specjalizuje się w organizowaniu ekstremalnych wypraw motocyklowych i samochodowych. Wielbiciel kobiet, brydża i destylatów owocowych (na ogół w tej kolejności).



REKLAMA

*Święta Bożego Narodzenia to święta światła i bliskości.
Bóg przyszedł i jest z nami. Ta prawda rodzi
w nas radość, odwagę i umacnia nadzieję.
Życzymy, by tajemnica Bożego Narodzenia
wypełniła serca pokojem i miłością.
Niech Nowy Rok przyniesie światu dar pokoju,
a nam Wszystkim da moc bycia zwiastunami nadziei,
zwycięstwa dobra i prawdy.*

*Zastępca Burmistrza
Kazimierz Gizicki*

*Przewodniczący Rady Miejskiej
Andrzej Stawiarski*

*Burmistrz Starego Sącza
Jacek Lelek*

Partnerzy wydania:





Jak chłopak z Sącza został asystentem Lema

»→ Rozmawia Gabriela Wolińska

To była niesamowita przygoda dla mnie – nie tylko intelektualna, ale też – powiedziałbym – emocjonalna, życiowa. Sporo się od niego nauczyłem. Był w pełnym tego słowa znaczeniu moim mentorem, przewodnikiem życiowym. Nie rozczarowałem się przy bliższym poznaniu – mówi sekretarz Stanisława Lema WOJCIECH ZEMEK. W rozmowie z DTS opowiada jak wyglądało jego życie u boku Mistrza.

– Pochodzi Pan z Sądecczyzny i został Pan sekretarzem Stanisława Lema. Bardzo ciekawi mnie jak wyglądał proces dochodzenia do tej funkcji. Prześledźmy to. Będąc dzieckiem wykazywał Pan zainteresowanie literaturą?

– Tak, byłem ogromnym mołem książkowym. Kochałem książki do tego stopnia, że potrafiłem pochłonąć jedną na dzień. Pani bibliotekarka po kilku miesiącach powiedziała, że ma mnie dosyć, bo nie czytam tych wszystkich ciekawych lektur, które ona mi poleca. Nie była w stanie uwierzyć, że mogę tak szybko czytać. Wtedy oczywiście byłem jeszcze za młody na poznanie dorobku Lema. Pierwszy głębszy kontakt z jego twórczością miałem dopiero w liceum. To był czas, gdy w Polsce pojawiło się czasopismo „Fantastyka”. Stanowiło ono absolutny hit i było odskocznią od szarych, PRL-owskich gazet. Co miesiąc czekałem na kolejny numer. Lema było tam niewiele, bo jednak częściej sięgali po zagraniczne opowiadania fantastyczne. Natomiast z książkami Mistrza miałem pierwszy kontakt dzięki serii Dziel Zebranych, która ukazywała się w latach 80. nakładem Wydawnictwa Literackiego. Niestety wydania te rozpadały się już po pierwszym czytaniu, ale nakłady były gigantyczne i liczyły po kilkaset tysięcy egzemplarzy. Dzięki temu czasami udawało się upolować którąś z książek Lema, choć zdarzały się pozycje, które mnie przerastały.

– Kiedy trafił Pan już na książki Lema, to od razu zaiskrzyło, czy traktował Pan je jak kolejne przeczytane pozycje z bibliotecznej półki?

– Od razu czuło się, że jest to najwyższej jakości literatura – zahipnotyzowała mnie przede wszystkim swoim poczuciem humoru. To było coś, co mnie wciągnęło w jego twórczość, choć nie tylko to. Pod płaszczykiem humoru kryje się dużo głębokich refleksji. Lem w dużej mierze ukształtował mój światopogląd oraz mój sposób widzenia świata. Tak to się zaczęło.

– Coś jeszcze poruszało Pana w jego twórczości?

– On w bardzo atrakcyjny sposób potrafił podać czytelnikowi całkiem poważne i istotne kwestie. Miał też rodzaj nietypowego wglądu, spojrzenia na człowieka, jego naturę oraz kulturę. Mnie się to bardzo spodobało. Nastolatek bywa nastawiony dość buntowniczo i szuka własnych ścieżek, a Lem tych ścieżek i dróg proponował mnóstwo.

– To Stanisław Lem zainspirował Pana do studiowania polonistyki?

– To były dziwne czasy, kiedy człowiek po studiach nie bardzo miał co robić. Lepiej radził sobie w świecie ktoś z konkretnym fachem. Nie powiem, żeby to było moje powołanie. Wtedy po polonistyce można było zostać albo dziennikarzem albo nauczycielem. Na początku poszedłem na teatrologię, a po niej nawet nie można było zostać nauczycielem, bo nie było takiej specjalizacji. Trochę chciałem być pisarzem. Duża część osób, która idzie na polonistykę myśli, że zostanie pisarzami. Po Lemie jednak widać, że aby pisać nie jest potrzebne wykształcenie



FOT. VLADIMIR MILANOV

– Tak, to jest misja. Jestem takim apostołem czy apologetą Lema – przyznaje Wojciech Zemek.

humanistyczne. Obucując z twórczością Mistrza uświadomiłem sobie, że pisarzem dobrym nigdy nie będę... Więc moje ambicje musiałem schować do kieszeni.

– Nie myślał Pan o studiowaniu astronomii bądź podobnych tematycznie Lemowi kierunków?

– Miałem podobno zdiagnozowane jakieś uzdolnienia do nauk ścisłych, ale nie rozwijałem ich. W szkole byłem w klasie humanistycznej, więc zostałem oderwany od pozostałych przedmiotów, a matematyka była u nas tylko szczytkowa. To był dla mnie wygodny wybór. Wtedy traktowało się studia jako taki okres, aby „przezimować” czyli przeczekać, jakoś się urządzić w życiu. Wiadomo było, że kariery się po tych studiach nie robi.

– Kiedy Pan po raz pierwszy spotkał Lema osobiście?

– To było w czasie studiów, ale trzeba mieć na uwadze, że ja studiowałem długo. Zacząłem w wieku 18 lat, czyli to był 1985 rok, a skończyłem dopiero w tym stuleciu. Studiowałem więc co najmniej kilkanaście lat. Lema spotkałem po dziesięciu latach od rozpoczęcia nauki, w 1995 roku.

– Przy jakiej okazji?

– Byłem na polonistyce trochę takim „studentem instytucją” – wszyscy mnie znali. Część moich kolegów zaczęła robić w tym czasie kariery naukowe i prowadzić własne zajęcia na uczelni. Ja wciąż z roku na rok się przeczołgiwałem. Robiłem bardzo dużo innych rzeczy i jakoś nie byłem w stanie się zdyscyplinować do szybszego skończenia studiów. Było natomiast mnóstwo różnych furtek, aby studia przedłużyć: urlopy dziekańskie i zdrowotne czy reaktywacje. W ten sposób po 10 latach byłem na seminarium u prof. Jerzego Jarzębskiego, czyli zbierałem się do pisanie pracy magisterskiej. Nie ukrywałem swojego zafascynowania Lemem, zresztą dlatego też wybrałem Jarzębskiego, który był uważany za najlepszego w Polsce „lemologa”. Musiałem zrobić na profesora dobre wrażenie, bo gdy Lem zapytał się go, czy może mu polecić jakiegoś studenta

do pomocy przy porządkowaniu biblioteki, to Jarzębski zaproponował właśnie mnie. Tak się zaczęła moja praca i współpraca ze Stanisławem Lemem. Wiem, że to mało pedagogiczna historia. Gdybym skończył studia po pięciu latach, nigdy w życiu nie miałbym szansy trafić na Lema, więc zapewne skończyłbym, mówię to z całym szcunkiem do tej pracy, na prowincji, jako sfrustrowany nauczyciel. A tak zrobiłem nieoczekiwaną karierę.

– Jakie wrażenie zrobił na Panu Lem przy pierwszym spotkaniu?

– Byłem trochę oszołomiony. Potem kilka razy przeżywałem ten moment. Aby to obrazowo przedstawić – gdy już przez pewien czas pracowałem dla Lema, zaproponowano, abym wręczył nagrodę na przeglądzie kabaretów w Krakowie. To była taka zabawna nagroda, wolałina (w puszcze podpisanej przez Lema), którą Ijon Tichy wyrzucił za burtę rakiety w jednym z opowiadań z „Dzienników gwiazdowych”. To był mój pierwszy poważny występ na żywo w świetłach reflektorów. Myślałem, że to będzie proste – wyjdę na scenę i wręcę nagrodę. Ale kiedy człowiek się tam znajdzie, oślepiony przez światło... Mniej więcej tak się czułem przy pierwszym spotkaniu z Lemem. Choć nie z powodu reflektorów, a majestatu Mistrza, jego osobowości i mojego uwielbienia dla niego. To było bardzo sympatyczne spotkanie. Siedział w swojej pracowni, ucieszył się na mój widok, zeszkoczył z fotela. Miałem głównie porządkować bibliotekę – skatalogować i zarchiwizować kilka tysięcy egzemplarzy autorskich, które się tam nagromadziły. Przesyłki przychodziły z całego świata, nie było pomysłu jak je uporządkować, dlatego w stertach leżały na podłodze.

Opowiadam to, żeby zobrazować, jak ogromny jest dorobek Lema. Należy przemnożyć jakieś trzy tysiące wydań, jakie miał na całym świecie, przez około 10 egzemplarzy autorskich z każdego wydania. Daje nam to co najmniej 30 tysięcy egzemplarzy autorskich, które trzeba było gdzieś upchnąć. Część oczywiście się rozeszła, część została zagubiona, ale została gigantyczna masa zadrukowanego papieru.

– Czuł się Pan wręcz przytłoczony postacią Lema?

– Powiedziałbym, że zdeprymowany, ale też oczywiście zafascynowany.

– Układanie książek w jego bibliotece to było jedyne Pana zadanie?

– Przed tym jak zostałem sekretarzem, byłem kimś w rodzaju bibliotekarza, osoby porządkowej. Przy okazji próbowałem się trochę podciągnąć z bibliotekoznawstwa, gdyż na początku nawet nie wiedziałem, jak powinna wyglądać metryczka książki. Nie było wtedy dostępu do internetu. Czasem rozszyfrowanie tych egzotycznych wydań stanowiło pracę wręcz detektywistyczną. Są np. takie edycje, które zostały zapisane tylko po arabsku bądź japońsku, nie mając polskich tytułów. Powoli pakowałem te książki, próbowałem je wpisywać do bazy danych i w ten sposób, tak stopniowo, poszerzał się zakres mojej pracy. Po kilku tygodniach, gdy prace porządkowe zaczęły zmierzać ku końcowi, Lem zaproponował, żebym został jego sekretarzem.

– Zmieniły się wtedy Pana obowiązki?

– Przede wszystkim należała teraz do nich korespondencja, kontakty z jego wydawcami i agentami na całym świecie. Negocjowałem też warunki nowych umów, jeśli na danym obszarze nie miał agenta. Wtedy założyliśmy pierwszą

stronę internetową, pod adresem lem.pl. Takie były początki budowania w internecie wizerunku Stanisława Lema.

– Spędzał Pan ze Stanisławem Lemem dużo czasu? Jaki był poza pisarstwem?

– Krążą różne przerażające opowieści na temat Stanisława Lema, jak np. pożerał dziennikarzy na śniadanie albo zrzucił ze schodów ekipy telewizyjne. Faktem jest, że nie tolerował niektórych zachowań. Przykładowo nie cierpiał dziennikarzy, którzy po minucie wylączali mu kamerę i mówili „to już dosyć”. Żle się czuł w takiej formule krótkich wypowiedzi, ale był moim zdaniem człowiekiem całkiem łagodnym i poczciwym. Mnie traktował trochę z pobłażaniem. Jak kogoś lekko niedorozwiniętego, komu należy się więcej troski i opieki. Przymykał oko na mój brak znajomości niektórych nazwisk, faktów oraz to, że nie wiedziałem, jak coś czasem napisać, podczas gdy dyktował mi swoje felietony bądź artykuły. Lem przez całe życie był człowiekiem impulsywnym, dość energicznym, napędzanym swoim wewnętrznym motorem poznawczym. Ciągle chciał zdobywać nową wiedzę, odkrywać nowe rzeczy, nie lubił biernie czekać. Szkoda mu było czasu na jakieś zabiegi grzecznościowe. Był bardzo bezpośredni, potrafił powiedzieć komuś prosto w twarz brutalną prawdę.

– Podróżował Pan gdzieś z Lemem?

– Lem był skrajnym domatorem. Jeździł do Rosji na spotkania autorskie z udziałem tamtejszych naukowców, ale wtedy nie bardzo wypadało odmówić wyjazdu do Rosji. Bywał również w Niemczech, bo tam był niesłychanie popularny. Jednak nie przepadał za takimi objazdami. Z jednego uciekł w polowie, bo uznał, że już ma dosyć i nie chciał się dłużej męczyć. Za moich czasów razem z żoną wyjechali tylko raz, do Wiednia, w celu uporządkowania spraw, bo Lem był tam w trakcie stanu wojennego na quasi emigracji. Trzeba też mieć na uwadze, że ja jednak znałem Lema już w wieku podszesnastym. Mistrz, gdy go poznałem, miał prawie 75 lat. W tym wieku zaczyna się już ograniczać aktywność podróżniczą. Był też po dość poważnych operacjach, więc miał ograniczone możliwości.

– Czuł Pan, że u boku Lema mocniej się rozwija?

– Tak, myślę, że był to najbardziej rozwojowy okres w moim życiu. Na szczęście miałem otwarty umysł i łatwość przyswajania sobie wiedzy, asymilacji informacji i wyciągania wniosków. Natomiast przy Lemie otworzyło się tyle różnych przestrzeni intelektualnych w moim umyśle, że to jest fenomen. On naprawdę swobodnie żonglował wiedzą z różnych dziedzin i robił to w sposób absolutnie niewymuszony. Potrafił połączyć ze sobą ewolucję, teorię literatury i np. fizykę w jedną spójną całość, aby to miało sens i stanowiło prawdziwą syntezę.

– W jaki sposób korzystał Pan z możliwości które daje praca z Lemem? Wyjazdy, rozmowy z ciekawymi ludźmi, których nigdy by Pan nie poznał, gdyby nie Lem?

– Poznałem oczywiście kwiat polskiej literatury w owym okresie. Widziałem się z Mrożkiem, Miłoszem i Lipską, z tych najgłośniejszych nazwisk, oni czasem odwiedzali Lema. Zmienił się również mój status studenta: wciąż studiowałem, ale byłem trochę uprzywilejowany, bo w końcu byłem sekretarzem Lema. Mimo to nie byłem w stanie jeszcze szybko tych studiów skończyć. Na pewno była to niesamowita przygoda dla mnie – nie tylko intelektualna, ale też powiedziałbym emocjonalna, życiowa. Sporo

Partnerzy wydania:





się od niego nauczyłem. Był w pełnym tego słowa znaczeniu moim mentorem, przewodnikiem życiowym. Nie rozczarowałem się przy bliższym poznaniu.

- Jak na uczelni zareagowano, że pracuje Pan na co dzień z Lemem?

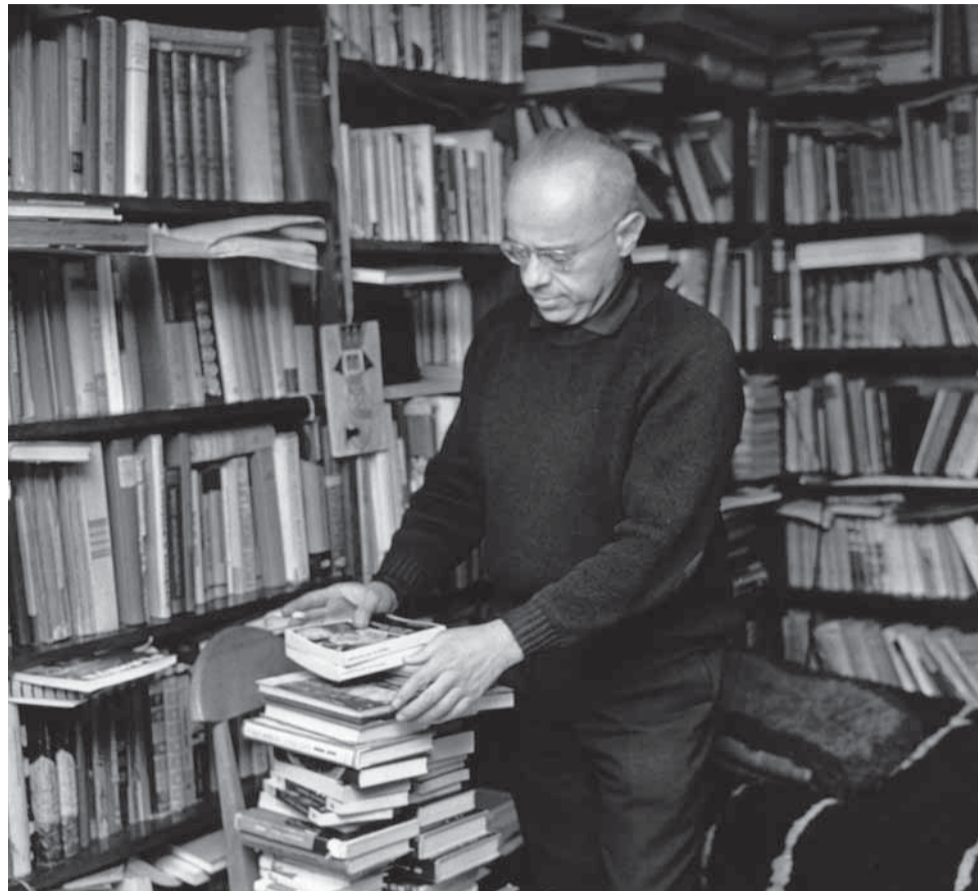
- Widziałem po części moich kolegów ze studiów, że dosyć mi zazdroszczą. Pasuje tutaj historia o mrówkach, które ciężko pracowały całe lato, a najlepiej urządził się pasikonik, który nic nie robił, tylko pojechał na występy zagraniczne. Trochę tak to właśnie wyglądało. Można powiedzieć, że faworyzował mnie los. Wtedy nagle stałem się osobą, z którą należało się liczyć w tym środowisku, bo jednak miałem bezpośredni dostęp do Lema.

- Był Pan sekretarzem Lema do samego końca. Jak po śmierci pisarza potoczyły się Pańskie losy zawodowe?

- Nie jest to moja jedyna aktywność zawodowa, ale w głównej mierze zostałem opiekunem spuścizny literackiej Lema. Zajmujemy się wciąż tymi samymi sprawami, gdyż twórczość Mistrza ma się bardzo dobrze, jeśli chodzi o nowe wydania na całym świecie, czy też nowe formy adaptacji. Powstało kilka dosyć głośnych filmów: „Kongres futurologiczny” i „Głos Pana”. Niedawno weszła na rynek gra na podstawie „Niezwycięzonego”. Recenzje są raczej pozytywne. Właśnie w taki sposób rzeczywiście można na nowo odkryć jego twórczość. Mamy też mnóstwo nowych wydań w egzotycznych krajach. Już po śmierci Lema zadebiutowaliśmy w Chinach. Wcześniej chyba w ogóle nie było tam jego książek, a jeśli były dostępne, to sporadycznie. Lem był tam do tego stopnia nieznan, że na okładce chińskiej „Cyberiady” zamiast jego zdjęcia znalazła się podobizna Czesława Miłosza. Teraz Lem w Chinach jest absolutnym guru, kultowym pisarzem, na którego się wszyscy powołują i kochają. Ma nakłady idące w setkach tysięcy egzemplarzy, a to tylko jest kwestia ostatnich pięciu lat. Kiedyś robiliśmy takie statystyki, które pokazały, że kilkanaście lat po śmierci Lema krzywa zupełnie nowych wydań i tłumaczeń wzrosła.

- Sład, Pana zdaniem, ta niesłabnąca popularność Lema na całym świecie?

- To, co on przewidywał, to co sobie wymyślił, można powiedzieć realizuje się na naszych oczach i to czasem tak dosłownie, że aż ciarki przechodzą. Przewidywał procesy i szersze zjawiska, jak np. sztuczna inteligencja. Wtedy w książkach Lema wydawała mi się ona czymś absolutnie nierealnym, a tutaj nagle okazuje się, że już w takim świecie żyjemy. Przecież w czasach kiedy Lem pisał o komputerach, to były one wielkością boisk piłkarskich, a przy tym składały



Pakowałem te książki, próbowałem je wpisywać do bazy danych i w ten sposób, tak stopniowo, poszerzał się zakres mojej pracy. Po kilku tygodniach, gdy prace porządkowe zaczęły zmierzać ku końcowi, Lem (na zdjęciu) zaproponował, żebyśmy zostali jego sekretarzami.

się z dziesiątek tysięcy elementów. Jego twórczość jest dalej aktualna.

- Staje się naszą codziennością?

- Tak, ale trzeba powiedzieć też, że Lem zawsze serwował nam pewne diagnozy, tzn. on nie tylko opisywał, ale też analizował i ostrzegał przed pewnymi zjawiskami. Uniknęlibyśmy wielu katastrof, gdybyśmy w odpowiednim momencie otworzyli książki Mistrza.

- Czym się Pan obecnie zajmuje?

- W Instytucie Polska Przyszłość działam w Radzie, ale tam nie udzielam się tak mocno. Współpracujemy ze sobą na różnych polach. Spadkobiercy Lema czuwają nad pamięcią o nim i nad jego dziedzictwem. Przede wszystkim trzeba odpowiadać na dziesiątki pytań, propozycji mniej lub bardziej szalonych związanych z Lemem. Wciąż mamy spore zainteresowanie jego twórczością ze strony filmowców. Co prawda te ekranizacje, które już powstały, nie odniosły komercyjnego sukcesu. Jednak co bardziej świadomi twórcy dostrzegają w nich potencjał. Przykładowo bardzo dobry serial Netflixa jakim jest „Black Mirror” momentami jest bliźniaczko

podobny do tego, co tworzył Lem. Oczywiście, nie jest to plagiat, ale widać mocną inspirację jego twórczością. Teraz mamy sporo projektów na etapie negocjacji. Jedynym problemem filmowców z Lemem jest brak kobiet, lub niewielka ich liczba w jego historiach, dlatego czasem są one przez nich modyfikowane jak np. we wspomnianej grze, gdzie w oryginale w ogóle nie było kobiet, a twórcy główną postacią zrobili astrobiologkę.

- Czy oprócz tego szykujecie jakieś duże projekty?

- Raczej to, co dzieje się na bieżąco: wywiady i spotkania poświęcone Lemowi. Otwiera się wiele placówek oświatowych im. Stanisława Lema, więc staramy się wspierać takie inicjatywy i pojawiać się na tych wydarzeniach. Jego twórczość ewidentnie żyje. Mamy dużo zapytań o nowe tytuły, proszą nas o wznowienia - robi to nawet rynek anglojęzyczny, a tam ciężko jest się przebić, bo on nigdy nie docenił Lema. Mistrz długo był tam bardzo niszowy i dopiero teraz go odkryto, co poskutkowało setkami tysięcy egzemplarzy. Ostatnio Massachusetts Institute of Technology przyszło do nas z pytaniem, czy nie posiadamy wolnych tytułów Lema. Wydali

wtedy serię z tytułami, które na tamten moment były wolne, czyli tymi, do których prawa stracił główny amerykański wydawca. Ta seria sprzedaje się fenomenalnie.

Mówiliśmy, że realizują się przewidywania Lema. Napisał on w latach 60. książkę pt. „Summa technologiczna” - jest to najbardziej profetyczny tytuł z jego dorobku. Długo pozostawała znana tylko w naszym regionie Europy. Potem jednak, po 50 lat od polskiego wydania, co dla książki futurologicznej stanowi mnóstwo czasu, ukazała się anglojęzyczna edycja. Nagle ten świat odkrył Lema, a recenzje ukazywały się we wszystkich prestiżowych miejscach. Byli zachwyceni jego spostrzegawczością i precyzją. Ta książka pojawiła się później w języku chińskim, hiszpańskim, będzie wydana również po włosku.

- Pilnowanie spuścizny Lema traktuje Pan jako swoją życiową misję?

- Tak, to jest misja. Jestem takim apostołem czy apologetą Lema. W pewnym momencie żartowałem, że będę chodził z jego książkami - podobnie jak robią to świadkowie Jehowy - po domach i mówił: - Dzień dobry, jak ma Pan chwilę czasu to chciałbym porozmawiać o „Solaris”. Naprawdę nawracam na Lema. Uważam, że jest to wybitna literatura, a poza tym jest to moja praca, mój chleb powszedni, więc trudno że bym nie miał do tego motywacji, ale czuję ją też wewnątrz. Uważam, że bylibyśmy dużo lepszym gatunkiem gdybyśmy wszyscy przeczytali Lema i zapoznali się z jego myślą.

- Myślał Pan nad tym, żeby ludzi na Sądecczyźnie nawracać na Lema?

- Prawda jest taka, że jeśli chodzi o czytelnice preferencje, czy aktywności, to do tego też jest potrzebna wewnętrzna motywacja. To widać po dzieciach, zmuszonych do czytania lektur w szkołach. Należy uniknąć wciskania Lema na siłę. Mam poczucie, że powstanie gry komputerowej może być przełomem i przyniesie nam sporo czytelników. Ostatnio mieliśmy ciekawą rozmowę z konsultantką Facebooka na temat naszego fanpage. Pani była Polką i nie wiedziała, kim jest Stanisław Lem, czym on się zajmował. Wciąż są więc w Polsce ludzie, którzy najwyraźniej nie znają kompletnie Lema. Jednak, jeśli chodzi o młodych czytelników, to wygląda to obiecująco.

- Może zatem Sądecczyzna okaże się podatnym miejscem na myśl Lema?

- Gdyby był tam organizowany taki projekt, to myślę, że chętnie bym się w niego włączył. Lem chętnie jeździł w góry, ale na Sądecczyźnie raczej nie był. Z kolei ja na Sądecczyźnie bywam tylko prywatnie i wciąż twierdzę, że Nowy Sącz jest pięknym miastem.

REKLAMA



Boże Narodzenie to szczególnie czas pokoju, rodzinnego ciepła i wdzięczności za to, co udało nam się osiągnąć w mijającym roku. Składam Państwu najserdeczniejsze życzenia zdrowych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia.

Adwokat Elżbieta Ruchała, Radna Sejmiku Województwa Małopolskiego

Partnerzy wydania:



Najlepsza 🍒 jakość
cateringów dietetycznych
dla 🥑 wymagających

Zeskanuj kod QR i sprawdź
nasze wyjątkowe diety



+48 885 449 693

biuro@wisniadiet.pl

wisniadiet.pl



Nissan Juke Hybrid
Poruszająca moc hybrydy

Wikar

Nowy Sącz, ul. Węgierska 168 - tel.: 18 414 0 420

Godziny otwarcia: pon. — pt.: 09.00 — 17.00, sob.: 09.00 — 14.00

www.nissan.wikar.pl

Wszelkie prezentowane informacje, zdjęcia, specyfikacje, opisy, ilustracje lub parametry techniczne służą wyłącznie celom informacyjnym, nie stanowią potwierdzenia dostępności poszczególnych modeli pojazdów, wersji wyposażenia, wersji napędów i nie stanowią zapewnienia w rozumieniu art. 556(1)§2 Kodeksu cywilnego oraz nie są wiążące. Nissan Juke Hybrid — zużycie paliwa w cyklu mieszanym WLTP (l/km): 5,0-5,2; emisja CO₂ w cyklu mieszanym WLTP (g/km): 114-117. Zużycie paliwa i emisje CO₂ podano zgodnie z obowiązującymi przepisami europejskimi. Przedstawione dane techniczne są zgodne z nową procedurą testową WLTP (Worldwide Harmonized Test Procedure for light vehicles) stosowaną do obliczania zużycia paliwa oraz emisji CO₂. Dane testowanych samochodów, porównywane są wyłącznie według tych samych procedur. Rzeczywiste wyniki mogą różnić się w zależności od czynników takich jak warunki pogodowe, styl jazdy, obciążenie pojazdu lub wszelkie akcesoria zamontowane po rejestracji pojazdu. Rozszerzona Gwarancja Nissana jest produktem ubezpieczeniowym, oferowanym przez Nissan International Insurance Ltd. W celu uzyskania bliższych informacji prosimy skontaktować się z autoryzowanym dealerm Nissana.

Partnerzy wydania:





WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

ŻYCZY



Wesołych Świąt

CENTRUM BADAŃ
I PROGRAMOWANIA

INSTYTUT BADAŃ
I KOMERCJALIZACJI

RADA UCZELNIANA
SAMORZĄDU STUDENCKIEGO

INSTYTUT DIAGNOSTYKI, OPINIODAWSTWA
I POMOCY PSYCHOLOGICZNEJ

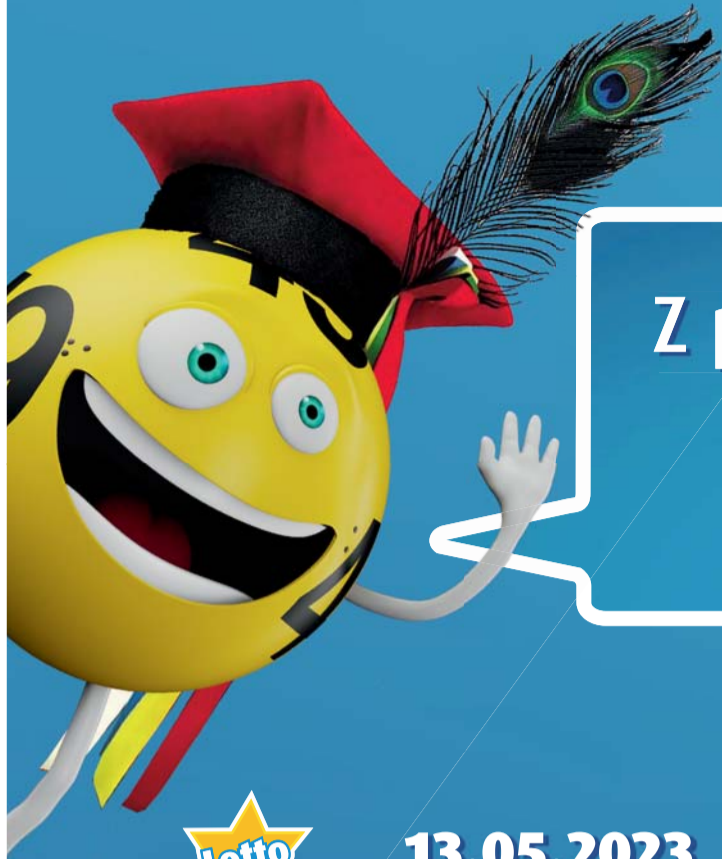
CloudA™

CENTRUM REKREACJI
OLIMP

WWW.WSB-NLU.EDU.PL

Partnerzy wydania:





Z przyjemnością przedstawiamy
10 WYSOKICH wygranych
w Małopolsce w 2023:

	13.05.2023	8 582 716 zł	Lisia Góra
	29.04.2023	7 324 195 zł	Stary Sącz
	21.09.2023	2 307 419 zł	Nawojowa
	04.07.2023	2 093 740 zł	Ratułów
	08.09.2023	1 376 181 zł	Raciborsko
	07.07.2023	996 564 zł	Krzeszowice
	06.06.2023	958 777 zł	Kraków
	05.05.2023	639 453 zł	Lanckorona
	09.05.2023	531 992 zł	Miechów
	30.10.2023	500 000 zł	Alwernia

Graj w punktach



i na

lotto.pl

Partnerzy wydania:



Wikar





Zupa z sączawiu i sączyny w bramie

Sztuczna inteligencja ma wyeliminować udział człowieka w wielu zajęciach. Złośliwi mówią, że AI zastąpi m.in. dziennikarzy. Nie boimy się. Oswajamy AI'a, a nawet zaprosiliśmy go do współpracy. Na razie od święta. Zadaliśmy sztucznej inteligencji ćwiczenie - wymyślenie wyrazów pochodnych od słowa Sącz. Oto efekt. Chat GPT postawił na ilość, a nie jakość. Część z wymyślonych słów trudno zrozumieć, część się powtarzała w innej formie osobowej. AI wygenerował listę, ale jej interpretacja to już sztuka, która wymaga odrobiny inteligencji, tej emocjonalnej. Zatem połowę zadania wzięliśmy na siebie i do wygenerowanych (wymyślonych?) przez sztuczną inteligencję słów dopisaliśmy... co nam ślina na pióro przyniosła.

Wyszedł z tego specyficzny Sącz Słowniczek, pierwszy taki.

Sączek - tu definicja jest gotowa, wystarczy zacytować za słownikiem PWN: „rurka lub gaza służąca do odprowadzenia ropy, krwi itp. z ran lub narządów”. O pokładach ropy w NS nie słyszeliśmy (poza ropą w zębach), a krwi to z pewnością ktoś nam jeszcze napsuje.

Sączów - tych Sączów było dwóch: Stary i Nowy. Antropologowie przekonują, że Stary wygląda młodziej niż Nowy.

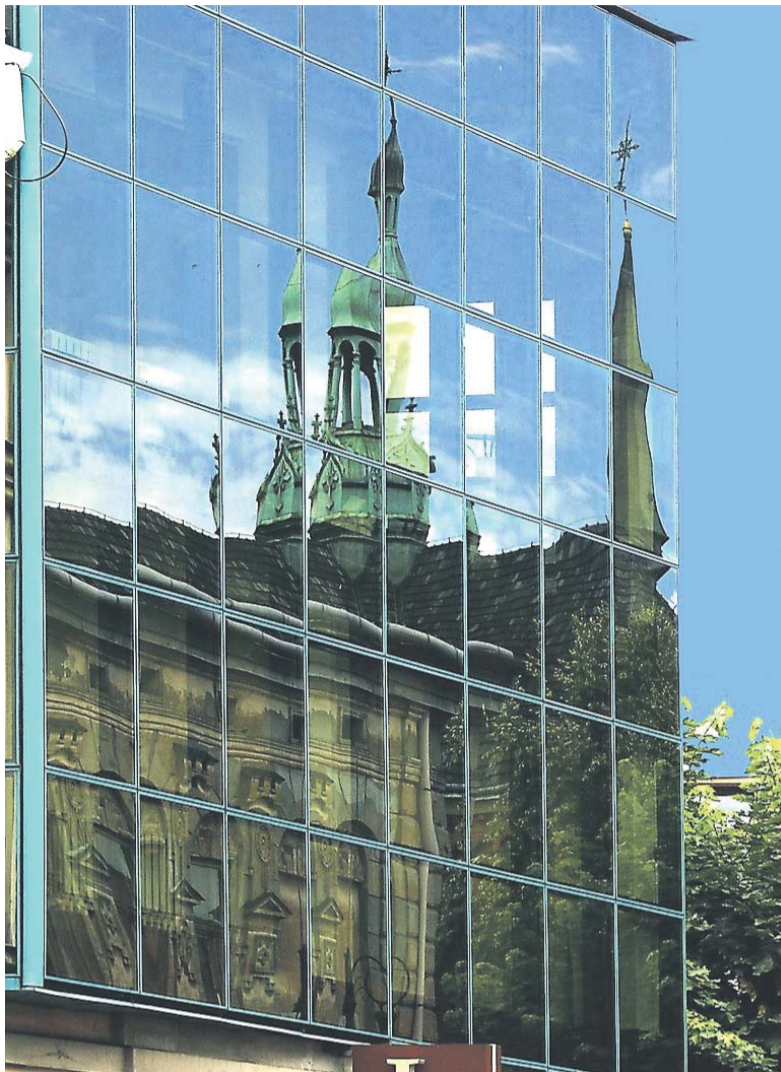
Sączyna - liche miasteczko powiatowe położone na końcu świata, do którego nie prowadzi żadna droga spełniająca europejskie standardy.

Sączynów - heroiczne czyny sądeckie, które zapiszą się w historii złotymi zgłoskami. Jak powiedział poeta: „Sączynów rachunki w naszej historii...”

Sączyny - w języku sądeckich laboratoriów analitycznych miejski moc oddany do badania. Z jego analizy możemy się dowiedzieć, jaki jest stan zdrowia psychicznego miasta. Ostatnia diagnoza brzmiała: wszyscy powariowali!

Sączna - prawdopodobnie istnieją dwie Sączne: Dolna i Górna. Sączna Dolna położona jest nieopodal Sącza, Sączna Górna nie wiadomo jeszcze gdzie. Według fantastów ma być wymarzoną krainą, w której wcielone zostaną w życie wszystkie sądeckie ideały. Raj na Ziemi.

Sączaw - roślina z rodziny szczywowych. Z sączawiu sądecy kucharze gotowali zupę sączawową. Sączaw uprawiany jest jeszcze na działkach pracowniczych. Obecnie uznawany za rarytas. Za pęczek sączawiu trzeba zapłacić na Maślany Rynku ok. 500 zł.



Wysączalność - wszędzie dobrze, ale w Sączu najlepiej. Wiedzą o tym szczególnie ci, którzy tu nigdy nie byli.

Sączowo - to i owo, czyli tak naprawdę nie konkretnego. Sądecki small talk. Sączować - gadać głupstwa; na Piekło: pieprzyć bez sensu.

Sącz - wiadomo. Słowo rdzeń, słowo pradziad wszystkiego co sądeckie. Najpierw był jakiś Sącz, a potem NS wybudowano. Ale nie od razu.

Sączanki - piśszczotliwie o mieszkankach NS. Tych prawdziwych, w przeciwieństwie do nieprawdziwych nazywanych Nowosądeczankami i określonych tak przez urzędników.

Sączka - rzadka choroba zakaźna występująca tylko w NS. Zakażonemu sączką wydaje się, że jako jedyny na świecie ma rację. Sączce może towarzyszyć biała gorączka, szczególnie, kiedy pacjentowi nikt nie chce przytakiwać.

Sączarnie - nasi dziadkowie żyli swoim wrogiem: „obyś skonał w sączarniach”. Sączarnie to rodzaj męczarni zadawanych po sądecku.

Sączar - żołnierz wierny Sączowi. Formacja nieumundurowana i nieuzbrojona. Przeciwników atakująca gradem argumentów, z których każdy wydaje się jedynie słuszny. Najczęściej żaden nie jest celny.

Sączkaństwo - rodzaj tkaniny ozdobnej sączkanej z podwójnej

nici. Ludność sądecka kolekcjonowała wytwory sączkaństwa wieszając je na ścianach. Stąd też o lojalnym mieszczaństwie mówiło się niegdyś: sączkaństwo.

Sączowianina - danina, rodzaj podatku. Każdy, kto chce sączyć, musi uiścić tę opłatę.

Wysączanie - opuszczanie NS. Od lat miasto się już nie wyludnia, ale podlega wysączaniu.

Przesączalność - skrajnie prawicowa lokalna idea mówiąca, że ludzie urodzeni w NS są lepsi od innych. Kiedyś podawana w formie ludowego porzekadła, według którego ludzie dzielą się tu na pnioki, krzoki i ptoki. Według tej zasady, tylko pnioki mogły pełnić najwyższe urzędy w NS.

Nasączalność - stopień nasylenia lokalnym patriotyzmem. Podobno da się zmierzyć, jak bardzo jesteś Sączem nasączony.

Sączawka - sądecka wersja słynnej londyńskiej mgły. Sączawka to coś pomiędzy mżawką, a smogiem. Występuje przez ponad sto dni w roku. Tzw. odpowiednie służby zalecają, by w tym czasie starcy i dzieci pozostali w domach.

Sączarka - przodownica pracy w sądeckim wydaniu. Żaden tam

konkretny zawód, po prostu kobieta wyrabiająca 300 procent normy.

Przesączalny - mieszkaniec NS, który chodzi po mieście podczas deszczu w przemakalnym płaszczu.

Przesączak - prze gość zameldowany w Nowym Sączu. Chłop na schwał, dobrze zbudowany, prze gigant!

Przesączarka - urządzenie służące do przesączania prawdy, zanim trafi ona do opinii publicznej. Wiadomość odsączona z najsmaczniejszego tłuszczu w smaku przypomina kielbasę sojową. Przesączarki stosują urzędy, firmy oraz niektóre organizacje.

Przesączanie - inaczej: gadać z kimś przez zęby. „Z łachy się do ciebie odzywam”.

Nasączarka - sądecka odmiana aktywistki, która nasącza odbiorców lansowaną przez siebie teorią, że najwyższym dobrem, jakiego powinniśmy w NS bronić, jest jakość powietrza. Zdaniem Nasączarki ktoś chce nam to powietrze zepsuć.

Nasączacz - miłośnik niezbyt wyrafinowanych alkoholi. Rezyduje zwykle na ul. Jagiellońskiej i zbiera dobrowolne datki pozwalające mu nasączać się w pobliskiej bramie. Tam też zazwyczaj oddaje sączyny.

Nasącz - dawniej najpopularniejsze w regionie zapytanie pasażera PKS do kierowcy o kierunek podróży autobusu: a jedzie Nasącz?

Wysączalny - określenie jakości alkoholi. Wysączalny czyli od biedy da się wypić nie wypalając sobie przelyku. Najwyższym uznaniem w tym rankingu cieszy się śliwowica*****

Wysączalność - wszędzie dobrze, ale w Sączu najlepiej. Wiedzą o tym szczególnie ci, którzy tu nigdy nie byli.

Wysączanie - picie kawy przez radnego Grzegorza Feckę (wraz z małżonką), który w każdą niedzielę wrzuca na FB zdjęcie „kawę sącz”. Dzięki temu wielosezonowemu serialowi wiemy, że Fecko pija wyłącznie fusiastą parzochę.

Wysączacz - to ten, który chce jak najwięcej wysać z miasta dla siebie. Szkodnik publiczny.

Wysączalnica - sądecka odmiana Chytrej Baby z Radomia. Wysączy z ciebie, ile będzie mogła.

Wysączarka - urządzenie, układ nieformalny, dźwignia finansowa służące do wyciągania kasy z miasta.

Odsączalny - totalnie splukany mieszkaniec NS.

Odsączanie - odsysanie z Sącza ile się da. W pewnych kręgach umiejętność odsączania ze wspólnej michy uważana jest za ważny komplement. Fachowcy zajmujący się odsączaniem nie czują z tego powodu wstydu ani wyrzutów sumienia. Przecież biorą wspólne, czyli niczyje.

Odsączarka - urządzenie służące do wybierania dla siebie najsmaczniejszych kąsków ze wspólnej miski.

Odsączalnica - miejscowa baba Jaga, która nie lata na miotle, tylko wrzuca na Facebooka zaklęcia i uroki. Jak odsączalnica zauroczy to krowy przestają mleko dawać, a kury przestają się nieść. A jak nie masz krowy ani kur, to ktoś porysuje ci auto na parkingu.

Odsączacz - człowiek, który będzie próbował odciągnąć nas od Sącza. Pod różnymi pretekstami, np. przekonując, że gdzieś indziej jest lepiej. Co oczywiście jest nieprawdą.

Odsączowy - w gwarze młodzieżowej człowiek totalnie odklejonny. Odsączowy to ten, który stracił kontakt z sądecką rzeczywistością (od czapy). Przykładami mogą tu być... No właśnie.

Odsączarki - patrz wyżej. Urządzenie służące do hurtowego wybierania dla siebie najsmaczniejszych kąsków.

Odsączaniec - ktoś, kto został odsączony od czci i wiary. Czyli człowiek w NS wykłety przez lokalną społeczność. Odsączaniec musi zwykle mieszkać poza murami miejskimi.

Odsączający - np. treści, czyli ten, kto delectuje się czytaniem o NS. Koneser wszystkiego co sądeckie. Choćby tego słownika, który powstał z potrzeby chwili i porwy serca.

AUTORZY SŁOWNIKA: SZTUCZNA I NIESZTUCZNA SĄDECKA INTELIGENCJA.

Sączersi - jedyne hasło w naszym słowniku, które nie zostało utworzone przez sztuczną inteligencję. A przecież Sączersi - kibice klubu Sandecja - są ważnym elementem lokalnego krajobrazu kulturowego. Nie wiemy, dlaczego tak się stało. Prawdopodobnie AI nie interesuje się piłką nożną.

Partnerzy wydania:





Jak przeprowadzić randkę z żoną na rowerze

»→ Rozmawia Wojciech Molendowicz

Rozmowa z ARKADIUSZEM KOGUTEM, trenerem kolarskim, autorem książki „Od rowerzysty do kolarza. Podręcznik krok po kroku”

- Trochę nietypową porę roku wybraлиście sobie na rozmowę o kolarstwie.

- Zdecydowanie. W listopadzie większość kolarzy odpoczywa. Pogoda za oknem nie rozpieszcza, więc wskazują na trenera - rower ustawiony w stelażu, którym jeździmy w pomieszczeniu - jednak większość odpoczywa. Ale moim zdaniem na rozmowy o kolarstwie zawsze jest dobra pora, a zimą jest na to akurat więcej czasu.

- To poteoretyzujemy. Właśnie się ukazała Twoja książka o kolarstwie...

- „Od rowerzysty do kolarza. Podręcznik krok po kroku”. Chciałem w niej pokazać, jak przejść transformację sportową i zrobić postęp, czy też dowiedzieć się więcej na temat każdej dziedziny kolarstwa. Jeśli właśnie jesteś początkujący, czy kupiłeś swój pierwszy, bardziej zaawansowany rower i szukasz wskazówek co dalej, by się rozwijać.

- Zaraz powiemy o książce, ale podpatrzyłem na Twoim Facebooku, że właśnie morsowałeś w Morzu Bałtyckim. Temperatura na zewnątrz minus 3 stopnie, temperatura wody 3 stopnie, a z wody wystaje tylko twoją kolorowa czapka.

- To akurat było wspomnienie, które mi Facebook przypomniał. Ale do morsowania nie jest potrzebne zimne morze. Można to robić tak jak my na potoku Ryterskim płynącym z Przehyby. Jest tam takie popularne miejsce do morsowania obok znanego hotelu.

- Ktoś zapytał: ale po co włożyć do tej zimnej wody, skoro w kranie jest ciepła?

- Na przykład, żeby oszczędzić na ciepłej wodzie z kranu. Żartuję. A tak poważnie, to aby wzmocnić układ odpornościowy. Dla kolarzy

to jest forma regeneracji. Gdy używamy tego ekstremalnego zimna, to naczynia krwionośne się obkurczają, a gdy potem organizm dochodzi do temperatury wyjściowej, to uruchamia różne procesy odpornościowe, regeneracyjne, które wspierają nasz organizm. Układ krążenia staje się mocniejszy. Dla pań może być również ważną informacją, że podczas morsowania w 10 minut spalamy 500-600 kalorii. Podczas morsowania dochodzi również do wyrzutu dopaminy, czyli hormonu szczęścia.

- A godzina roweru na jaki czas nas uszczęśliwia? Tam też następuje wyrzut dopaminy.

kilka a kilkanaście tysięcy kilometrów w roku.

- Moda na rower wybuchła w Polsce kilka lat temu. W czasie pandemii koronawirusa miała swój szczyt, ale czy coś po niej zostało? Moda na rower to trwałe zjawisko?

- Myślę, że tak. Obserwuję rynek już od 20 lat i faktycznie mamy efekt kolarskiej pandemii. To podczas covidu ludzie odkryli rower jako ciekawą formę uprawiania sportu, który jest łatwo dostępny i można go uprawiać w różnym natężeniu. Mam takich klientów, którzy sami się określają jako kolarz pandemiczny. Czyli właśnie wcześniej trenował

- Jakże? Bo jazda rowerem jest przyjemna, bo spotkam się z przyjaciółmi, bo się dotlenię, bo zrzucę kilka kilogramów...

- Na przykład takie. A ktoś inny, bo chce przejechać pierwsze 100 kilometrów w przyszłym sezonie w jednym kawałku, bez rozkładania tego na dwa dni i spania po drodze. Trzeba sobie wyznaczać nowe cele. Jeśli chcę przejechać pierwszy raz 100 km to jeżdżąc raz w tygodniu 20-40 km nie da rady tego osiągnąć. Trzeba trenować kilka razy. Takie rozsądne minimum to dwa-trzy razy i wtedy można zaobserwować już pierwsze efekty, pierwsze postępy.

pozbędzie się tej tkanki. Oczywiście przy odpowiedniej diecie. Czyli nie możemy zjeść pół świniaka po treningu, bo te kalorie, które spaliliśmy, zastąpimy większą ilością nowych kalorii.

- Wróćmy do naszych teoretycznych kolegów z biura. Jeden mówi: „Kupiłem sobie rower, jeżdżę trzy razy w tygodniu, dzięki temu schudną, będę lepiej wyglądał, wejść w stare garnitury. A tu nic się nie dzieje. Mam nawet kilo więcej”. Rozczarowanie, które bardzo łatwo wytłumaczyć.

- Tak, zwykle jest to efekt, jak to się mówi profesjonalnie, dodatniego bilansu energetycznego. Czyli zjemy więcej kalorii niż spalimy. Więc tylko mamy wrażenie, że jeżdżąc na rowerze zrzucamy kilogramy. Powiedzmy, że przy twojej wadze zużywasz na co dzień mniej więcej 2000 kalorii na życiowe czynności. No i teraz dodajemy do tego kalorie spalone podczas treningu. Powiedzmy, że to będzie podczas dwóch godzin 1000 kalorii, czyli mamy ich łącznie spalonych 3000. No i teraz tyle samo wolno nam przyswoić, tyle lub mniej. Jeśli chcemy schudnąć, to mniej. A jeśli pójdziemy po treningu na duży obiad, wypijemy do tego dwa piwa, zjemy jeszcze jakieś ciasto, wypijemy kawę, to te „przysługujące nam” kalorie bardzo łatwo przekroczyliśmy.

- Intensywność treningu, intensywność jazdy na rowerze, tej zabawy rowerowej ma znaczenie, jak zbędna tkanka tłuszczowa będzie szybko znikać?

- Tak. Na początku oczywiście warto, jeśli wcześniej nie mieliśmy do czynienia ze sportem wytrzymałościowym, zacząć od budowania tak zwanej wytrzymałości tlenowej, czyli jeździmy sobie spokojnie w przedziale 70-75 procent tętna maksymalnego, o czym informuje nas pulsometr. No więc na początku jeździmy właśnie w takiej strefie, gdzie możemy sobie swobodnie porozmawiać z innymi i to jest sygnał, że jedziemy w tej strefie tlenowej - nie łapiemy

Godzina roweru przez wyrzut dopaminy uszczęśliwia na kilka godzin.

- Na kilka godzin. To chyba możesz z autopsji potwierdzić, bo sport trenujesz.

- Zaraz dojdziemy do tego, czy ja trenuję, czy tylko jeżdżę na rowerze. Zaczniemy od definicji, kto to jest rowerzysta, a kto to jest kolarz? Bo to chyba delikatna różnica.

- Rowerzystą jest każdy, kto posiada rower i używa go co jakiś czas, choćby tylko kilka razy w roku.

- Albo tylko w niedzielę, żeby walać mi Dunajca do Starego Sącza pojechać.

- To właśnie jest rowerzysta. Natomiast kolarzem nazwałbym kogoś, kto rower traktuje bardziej jako styl życia. Jest dla niego jakoś tam ważny i jeździ dosyć często, czyli kilka razy w tygodniu. Jak my zapaleńcy, nawet w zimie na trenerze. Niektórzy kolarze biorą udział w wyścigach amatorskich i czerpią z tego frajdę. Więc ten kolarz amator przejeżdża rowerem pomiędzy

np. na siłowni, na basenie uprawiał jakiś sport zespołowy, a potem kupił pierwszy rower i zaczął się poważnie tym zajmować.

- Wyobraźmy sobie taką hipotetyczną sytuację, ale całkiem prawdopodobną. Koledzy z pracy w sobotę spotykają się na rowerach, jadą niespiesznie i rozmawiają. Po drodze może się nawet zatrzymają na obiad bo przejechali już 20 km, to może piwko do tego jeszcze wypiją. Czy ta aktywność ze sportowego punktu widzenia ma sens?

- Myślę, że każda forma rekreacji na świeżym powietrzu ma sens. Zależy, co chcemy osiągnąć. Każda forma ruchu, czy to będzie te symboliczne 20-30 km, nawet z przerwą na obiad, jest w porządku, bo dotlenimy nasze szare komórki, nasze mięśnie trochę się poruszają. Na pewno jest to lepsze niż pięć dni w biurze plus dwa dni na kanapie. Dobrze, jeśli zrobimy to choćby raz w tygodniu. Ludzie mają różne motywacje, by wsiąść na rower.

- Jakże to będą efekty?

- No właśnie zwiększenie wytrzymałości. Czyli będziemy mogli stopniowo wydłużać dystanse, jakie pokonujemy.

- I szybciej jechać?

- I odrobinę szybciej jechać. Czyli powiemy jak przejeżdżaliśmy te 40 km z prędkością 20 km/h, to potem docelowo możemy przejechać 100 km z prędkością 25 km/h. Czyli nasza wytrzymałość wzrasta. Możemy 3-5 godzin jechać bez zatrzymania się. Co nam jeszcze da? Oczywiście zrzucenie zbędnych kilogramów z tkanki tłuszczowej, bo jak damy organizmowi regularnie wycisk, czyli właśnie 2-3 razy w tygodniu, to on powie „hej, ta tkanka tłuszczowa mi się do niczego nie przydaje”.

- Bo po co wozić tkankę tłuszczową ze sobą?

- Nie chcę jej wozić, bo ona zużywa dodatkowo moją energię, więc

REKLAMA

od 1990r.

LEŚNIAK

**Pełnych radości Świąt Bożego Narodzenia
a także wszelkiej pomyślności
w nadchodzącym Nowym Roku 2024
zyczą
właściciele i pracownicy
Zakładów Mięśnych Leśniak**

www.zmllesniak.pl











Partnerzy wydania:





zadzyski. A tkanka tłuszczowa intensywnie się spala.

- Kiedy zacząć sezon kolarski? Wielu czeka na wiosnę. Jest takie przekonanie, w Polsce bardzo mocne, również ze względu na aurę za oknem, że początek sezonu kolarskiego to jest długi majowy weekend. Nie za późno?

- Większość osób wtedy właśnie wyjeżdża pierwszy raz rowerem. Ale jeśli chcemy osiągnąć wspomniane cele w postaci np. zrzucenia tkanki tłuszczowej albo wydłużenia dystansu czy prędkości, to warto zacząć już wcześniej.

- W grudniu?

- Na przykład w grudniu, kiedy większość kolarzy właśnie zaczyna przygotowania. I nie musi to być od razu jazda na rowerze na zewnątrz przez dwie godziny przy minus pięciu stopniach, ale pomogą nam w tym wspomniane trenażery, czyli jazda pod dachem. Wpinamy rower do stojaka i jedziemy. Możemy się też poruszać w wirtualnej rzeczywistości i np. umówić się przez internet we dwóch na jazdę w Alpach.

- Ale jeśli ktoś woli, może patrzeć w ścianę albo np. w telewizor i nadrobić zaległości filmowe, oglądać mecze albo debaty polityczne.

- Można również w ten sposób. No i pamiętamy o dyscyplinach uzupełniających kolarstwo czyli siłowni, basenie, saunie, marszobiegiach.

- Narty zjazdowe?

- Też, bo one bardzo mocno angażują właśnie mięśnie czworogłowe i pośladkowe, które są używane w kolarstwie w dużym stopniu.

- To wszystko, o czym mówimy oraz dużo więcej jest opisane w Twojej książce na 368 stronach! Nie obawiasz się, że przesadziłeś z objętością, że wszystko chciałeś opowiedzieć za jednym razem?

- Nie, bo w książce oprócz części teoretycznej jest też sporo wywiadów z ludźmi uprawiającymi kolarstwo na różnych poziomach zaawansowania, m.in. z mistrzynią...

- Z mistrzynią świata!

- Świeżo upieczoną mistrzynią świata w kolarstwie gravelowym,

z Kasią Niewiadomą z pobliskiej Ochotnicy. Mamy tu więc część teoretyczną i praktyczną. Są tam porady - jak się ubrać na rower, co jeść, jak trenować. Jest też przykładowy miesięczny plan treningowy dla początkujących. Są tam checklisty np. co warto mieć w warsztacie rowerowym. Jest rozdział o kobietach kolarkach, który napisała Katarzyna Ślęzak, ale też poradnik jak przeprowadzić randkę z żoną na rowerze, żeby jej nie zniechęcić do dalszego uprawiania kolarstwa.

- Zapytałem Cię na początku, czy ja jeżdżę na rowerze czy trenuję kolarstwo?

- Myślę, iż wiesz na tyle dużo o kolarstwie, że sam jesteś w stanie określić - jeździsz czy trenujesz. Pewnie masz takie okresy, że bardziej trenujesz i takie, kiedy raczej jeździsz. Ale z pewnością rower zajmuje u ciebie ważne miejsce w planie dnia, tygodnia i roku.

- Prawdopodobnie też absorbuje mi za dużo czasu. Może być za dużo kolarstwa w czyimś życiu.

- Może być, oczywiście. Mam czasami takich klientów, którzy znajdują się gdzieś na granicy tego balansu między kolarstwem a pracą i życiem rodzinnym. W takich sytuacjach włącza się czerwona lampka, czy już nie jesteśmy o krok za daleko, bo w kolarstwo - jak we wszystko - można się wkręcić za mocno.

- I jak w każdym uzależnieniu, kiedy rano wstajemy to najpierw myślimy o rowerze zamiast o pracy i najbliższych?

- Może się tak zdarzyć. W pierwszej kolejności trzeba sobie zadać pytanie: czy ktoś z powodu mojego hobby nie cierpi? Daję taki przykład - mąż dużo trenuje, a żona nie ma przez to czasu dla siebie, bo musi się zajmować wszystkimi sprawami. I nie jest wtedy dziwne, że się kobieta frustruje. Wtedy warto porozmawiać i ustalić jakieś ramy czasowe, ile ja poświęcam na rower? A może ona też chciałaby jakieś swoje hobby realizować? A może jest przestrzeń na wspólne hobby. Po pierwsze komunikacja - jak we wszystkim w życiu.

WYKORZYSTANO FRAGMENTY WYWIADU Z REGIONALNEJ TELEWIZJI KABLOWEJ.



FOT. ARCH. A. KOGUTA

Arkadiusz Kogut - autor książki „Od rowerzysty do kolarza. Podręcznik krok po kroku”

REKLAMA

*Spokojnych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia,
wszelkiej pomyślności w Nowym Roku
oraz spełnienia w życiu zawodowym i osobistym
życzą
Zarząd i Pracownicy*

eRSbet



Partnerzy wydania:





Film o mocy, którą człowiek ma w sobie. I o tym, że nie ma takiej sytuacji, która mogłaby nas zabić

»→ Rozmawia Jolanta Bugajska

Rozmowa z ARTUREM „BARONEM” WIECKIEM – pochodzącym z Limanowej reżyserem i scenarzystą filmowym, którego ostatni film „Prawdziwe życie aniołów” otrzymał m.in. Złotego Anioła na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Tofifest

– Wierzy Pan w anioły?

– Na pewno nie w takie ze skrzydłami, które siedzą na chmurce i spoglądają na nas z nieba. Natomiast wierzę w dobrą energię, pozytywne myślenie, w to coś, co budyci nazywają karmą. Bo to, że Krzysztof Globisz przetrwał chorobę, że tylu pomocnych ludzi zgromadziło się wokół niego, otaczając go przyjaźnią, miłością, uruchamiając te wszystkie pozytywne siły, to jest właśnie ten rodzaj karmy, którą on wypracował i która do niego wróciła. Swoim wcześniejszym działaniem, tym co robił, jak żył, jaki miał stosunek do ludzi, jak ich traktował, zapracował na to, że ta dobra energia do niego wróciła, wpływając na to, że chciał wyjść z choroby, że chciał

dalej żyć. Można więc powiedzieć, że anioły istnieją. Pojawiają się w nas, w naszych przyjaciółach, bliskich i nieznanym, w sytuacjach, które nas spotykają, w działaniach, które podejmujemy. I to jest wyczuwalne.

– Krzysztof Globisz miał takiego anioła w ludzkim ciele, czyli swoją żonę?

– Ona była wręcz archaniołem! To, czego dokonała Agnieszka i co robi dalej, jest czymś więcej, niż można by się było spodziewać od jakichkolwiek aniołów. Jej oddanie Krzysiovi jest absolutnie niezwykłe. Ale nie tylko ona była takim aniołem. Ta ilość zbiórek, akcji, to, co na przykład zrobiła Ania Dymna – w

filmie jest taka scena z jej udziałem, gdzie opowiada, że papież przysłał pióro na zorganizowaną przez nią aukcję dla Krzysia. I to jest wszystko prawda, ona rzeczywiście napisała do papieża i on to pióro naprawdę przysłał i zostało zlicytowane. Albo to, że jego byli studenci stworzyli dla Krzysia specjalny tekst i powstał spektakl „Wieloryb The Globe”, to także przejaw wdzięczności, sympatii, przyjaźni. Nasz film podobnie, też był napisany specjalnie dla niego. Ta dobra, pozytywna aura wokół niego była po prostu niesamowita.

– A gdy dowiedział się Pan o udarze Krzysztofa Globisza, pomyślał Pan, że już

nigdy nie stanie on na scenie i nigdy nie zagra w żadnym filmie?

– Pierwsze myśli były rzeczywiste takie. Dla aktora udar odbierający mu najważniejszy środek wyrazu, jakim jest mowa, jest czymś strasznym. Ale przez pierwsze dwa, trzy miesiące Krzysztof walczył o życie, wtedy w ogóle nie myślało się o jakiś sprawach zawodowych, tylko czy on to przeżyje. Z dużymi emocjami czekaliśmy na sygnały o jego stanie. A potem, gdzieś w prasie lub internecie zobaczyłem tytuł „Anioł miał udar” i pojawiło się sporo odniesień do naszych wcześniejszych filmów. Uruchoimiły się także głosy, bliższych i dalszych sympatyków

naszych anielskich filmów: No tak, zrobiliście takie jasne, optymistyczne filmy, a przecież życie wcale nie wygląda tak dobrze, wręcz przeciwnie, płyniemy w dół rzeki, w stronę wodospadu, gdzie roztrzaskamy się o skały. Mierzyliśmy się z tymi opiniami i tak narodziła się myśl, żeby podjąć to wyzwanie, zmierzyć się z tym tematem i zastanowić, czy jest możliwe życie po katastrofie. Bo w filmie pokazujemy udar, ale ma to przecież wymiar uniwersalny – nasz bohater to po prostu człowiek na życiowym zakręcie, w sytuacji mega opresyjnej, która odbiera mu sens i chęć do dalszego istnienia. Jak i gdzie szukać wyjścia z tego mroku? Czy to w ogóle możliwe? Stąd idea, żeby przekuć ten udar Krzysia w coś głębszego, żeby pokazać ludziom, że nie należy poddawać się rozpacz, że trzeba walczyć do końca.

– Jaka była reakcja Krzysztofa Globisza na ten pomysł?

– Zanim doszło do rozmów z Krzysztofem, długo się wahaliśmy. Patrzyliśmy na to realnie – czy

Patrząc na Krzysztofa, widz uświadamia sobie, że ten facet na ekranie naprawdę to przeżył. Chyba nigdy nie było takiego filmu, żeby aktor po afazji zagrał główną rolę, a na dodatek zagrał samego siebie, opowiadając historię własnej choroby

REKLAMA

Spokojnych,
rodzinnych
Świąt
Bożego
Narodzenia
życzy



Partnerzy wydania:





w ogóle w tej sytuacji film może powstać, czy Krzysztof może nadal grać. Nie wiedzieliśmy do końca, w jakim on jest stanie. Dopiero, gdy do niego pojechałem w odwiedzinach, to, jak to ja, opowiedziałem jakiś dowcip i wtedy usłyszałem jego śmiech. I był to śmiech Krzysia, takiego sprzed udaru, czyli śmiech od palca w bucie do czubka głowy. I już wiedziałem, że po pierwsze, Krzysiu wszystko rozumie, a żeby zrozumieć abstrakcyjny dowcip trzeba mieć sprawny umysł, a po drugie, że Krzysiu jest, on jest, jego duch pozostał ten sam. A potem zobaczyłem go we wspomnianym spektaklu „Wieloryb The Globe”, w którym grał główną rolę i nie schodził ze sceny przez bite dwie godziny i już wiedziałem, że zrobienie tego filmu jest możliwe, że choć Krzysztof funkcjonuje w inny sposób i ma inne środki wyrazu, to nadal jest aktorem i ma absolutną świadomość kreowania roli i procesu twórczego. Pojechalśmy więc do Krzysia, przedstawiliśmy mu pomysł, a on odpowiedział tylko: Ja gram. (śmiech)

– Praca przy „Prawdziwym życiu aniołów” była jednak inna, trudniejsza niż przy wcześniejszych „Aniołach”?

– Oczywiście była inna, bo Krzys ma problem z werbalizacją swoich myśli i pomysłów. Trzeba więc szukać innych sposobów porozumienia, odbywa się to na innych fałach, zarówno między nami, jak i np. między Kingą Preis, a nim. Normalnie aktorzy mówią sobie po prostu, że coś nie działa, coś muszą zagrać inaczej, etc., etc., a w tym wypadku musieli komunikować się w inny sposób, za pomocą emocji, uczuć, niejako między słowami, korzystając z innego wymiaru porozumiewania się. W tym sensie było to inne, ale też niezwykle ciekawe. To była bardzo nieoczywista praca, zawieszona pomiędzy filmem fabularnym, a dokumentalnym. Cała ekipa musiała być czujna, gotowa na niespodzianki, na to, co dzieje się przed kręceniem sceny, czy po niej. Nie wylączaliśmy kamery zbyt pośpiesznie. Oczywiście, jak to w filmie, nie kręciliśmy sceny po kolei, ale okazało się, że Krzysztof ma całkowitą świadomość momentu historii, w jakim w danej chwili byliśmy i tego, co jest do zagrania, jakie emocje mu wtedy towarzyszyły. Doskonale się w tym orientował i miał swoje pomysły na tę rolę, i na poprowadzenie tej postaci. Okazało się więc, że w tym aspekcie praca była podobna do normalnej pracy przy filmie, tyle że kontakt z aktorem był trochę z innego wymiaru. Ważne było to, żeby widz dostał historię, która będzie dla niego zrozumiała, czytelna. Dlatego cały film był pisany pod Krzysztofa i jego możliwości. Zdałem sobie sprawę, co i ile może on powiedzieć. Nie ma zatem rozbudowanych scen dialogowych. A przecież niektóre momenty w filmie były wręcz karkołomne, bo Krzysztof musiał zagrać też człowieka zdrowego, sprzed udaru. Dlatego zaopuściliśmy mu brodę, żeby minimalizować ubytki w mimice, itp. To były kwestie, które były dopasowywane



Krzysztof Globisz (w filmie Adam) naprawdę to przeżył, wydobyl się z tego i mówi: Patrzcie, dałem radę, więc to jest możliwe! Na zdjęciu z Kingą Preis – filmową żoną Agnieszką.

do jego stanu zdrowia i możliwości. Trzeba także dodać, że Krzysztof nie pamięta momentu udaru i pierwszych 2-3 miesięcy wychodzenia z niego. To spowodowało, że uwolniliśmy się od tego rodzaju myślenia, że coś wyglądało inaczej niż my pokazujemy, nie krępowaliśmy nas to. Wręcz przeciwnie, to nas uwolniło! Dzięki temu mogliśmy zrobić własną wersję wydarzeń, dać pole wyobraźni. Również Krzys mógł poczuć się wolny, zagrać wszystko od nowa, po swojemu, stworzyć postać Adama, nie Krzysztofa Globisza, zagrać jakąś własną wersję siebie.

towarzyszyła mu w wychodzeniu z choroby. Natomiast nie chcieliśmy opowiadać wszystkiego z dokumentalną dokładnością. Zrobiliśmy własną wersję rodziny Krzysztofa, która nie wygląda tak jak w filmie. Niektóre słowa, dialogi, użyte w filmie rzeczywiście zostały wypowiedziane, tak samo, jak zaistniały niektóre sytuacje i niektóre osoby. Ale też sporo rzeczy, ze względów dramaturgicznych, zostało stworzonych w naszej wyobraźni. Najistotniejsze jednak jest to, że patrząc na Krzysztofa, widz uświadamia sobie, że ten facet na ekranie naprawdę to prze-

świadomość, że Krzysztof Globisz naprawdę to przeżył, wydobyl się z tego i mówi: Patrzcie, dałem radę, więc to jest możliwe!

– Ma Pan poczucie, że ten film jest ważny dla osób po różnego rodzaju incydentach neurologicznych, bo właśnie pokazuje, że z tego można wyjść?

– Oglądamy „Prawdziwe życie aniołów” jako film o chorobie, o udarze, ale wydaje mi się, że z czasem o tym zapominamy i śledzimy bohatera, który po prostu wydobrywa się z jakiejś opresji, czym by ona nie była, patrzymy na człowieka, który się nie poddaje, walczy. I o to chodzi! To film o mocy, którą człowiek ma w sobie. I o tym, że nie ma takiej sytuacji, która mogłaby nas zabić. Wreszcie o nadziei, która musi nam towarzyszyć. O bliskości i miłości, które potrafią czynić cuda. W tym sensie nie jest to film tylko o chorobie, to jest film o sile ludzkiego ducha.

– „Anioł w Krakowie”, „Zakochany anioł” to były filmy lekkie i optymistyczne. Ten trzeci okazuje się, wbrew pozorom, też taki być, dopełniając wcześniejsze historie.

– Oczywiście w tamtych filmach żartowaliśmy sobie z nas samych, z otaczającej nas rzeczywistości. Sama postać anioła już była jakimś przymrużeniem oka. Ale stało się, co się stało. Było oczywiste, że ten trzeci film musi być na poważnie, choć nie byłbym sobą, gdybym

„Prawdziwe życie aniołów” to opowieść o tym, jak ceniony aktor i pedagog Adam (w tej roli Krzysztof Globisz) przechodzi rozległy udar, w wyniku którego doznaje afazji. Jego żona Agnieszka (Kinga Preis) robi wszystko, aby mąż wrócił do zdrowia i mógł dalej wykonywać swój zawód.

Film zdobył m.in. Złotego Anioła na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Tofifest, a Kinga Preis została uhonorowana nagrodą publiczności „Jańcio Wodnik” za najlepszą rolę kobiecą na 28. Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej „Prowincjonalia 2023”.

nie zawarł w nim jakiegoś rodzaju anielskości, pozytywnej, jasnej aury, w typie: Owszem może i płyniemy w stronę wodospadu, gdzie roztrzaskamy się o skały, ale płynąc tam, lepiej siedzieć na fotelu niż na kaktusie! (śmiech)

– Czuje Pan satysfakcję? To najlepszy Pana film?

– Tak, zdecydowanie uważam, że to mój najlepszy film. Tym bardziej cieszę się z efektu, bo było to ogromne wyzwanie artystyczne i bardzo ryzykowny pomysł, przy którym byłem pełen obaw. Myślę też, że to jest coś o wiele więcej niż film. To się zawiera w wielu aspektach, nie tylko w aspekcie formalnym, o którym rozmawialiśmy, w tym przenikaniu dokumentu i fabuły, ale też w tym, że praca nad tym filmem balansowała między pracą zawodową, a przyjaźnią, która między mną a Krzysztofem trwa już ponad dwadzieścia lat. Ten film jest bardzo osobisty, taki, że być może tylko ja mogłem go zrobić. I to jest bardzo fajne.

– Jakże ma Pan plany na 2024 rok? Będzie jeszcze kolejny „Anioł”?

– Nie, Boh trojcu lubit, anielski trójkąt wystarczy. W przyszłym roku zaczynam próby teatralne do „Dzienników” Jerzego Pilcha. I myślimy nad następnym filmem fabularnym. Bardzo chciałbym zrobić komedię muzyczną do piosenek Zbigniewa Wodeckiego.

Owszem może i płyniemy w stronę wodospadu, gdzie roztrzaskamy się o skały, ale płynąc tam, lepiej siedzieć na fotelu niż na kaktusie!

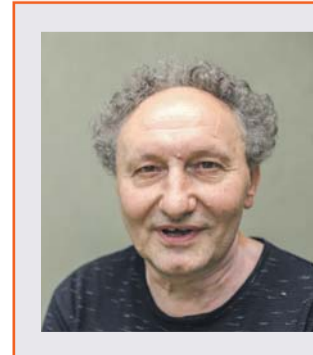
– Dla niego praca nad tym filmem stała się swego rodzaju terapią?

– Na pewno, bo dla osób po udarach w ogóle praca jest terapią, wychodzenie do ludzi, podjęcie wysiłku, próby mówienia, podejmowania dialogu z innym człowiekiem. Ludzie po udarach często popadają w rodzaj marazmu, zwątpienia, depresji, przez co osłabia się ich chęć aktywności. Dlatego każde zadanie dla takiej osoby jest terapią. Nie mówiąc o tym, że dla aktora, a Krzysztof cały czas jest aktorem, granie roli jest zawsze wyzwaniem.

– Podkreśla Pan, że to jest film, a nie dokument. Ile zatem jest prawdy w tym filmie? Na ile bohatera możemy utożsamiać z samym Krzysztofem Globiszem?

– Powiedziałbym, że pół na pół. Wychodzimy od prawdziwej sytuacji. Wiadomo, że Krzysztof przeszedł udar i jego wspinała żona Agnieszka w nieoceniony sposób

żył. Chyba nigdy nie było takiego filmu, żeby aktor po afazji zagrał główną rolę, a na dodatek zagrał samego siebie, opowiadając historię własnej choroby. Był na przykład film „Motyl i skafander” na podobny temat, piękny film, ale widz patrzył na aktora i miał świadomość, że Mathieu Amalric kończy zdjęcia, wydobywa się z tego skafandra i idzie ze znajomymi na kolację. A Krzysztof jest taki jak w tym filmie! Dlatego to tak mocno działa, bo odbiorca ma



Artur „Baron” Więcek – reżyser i scenarzysta filmów fabularnych, dokumentalnych, programów telewizyjnych i spektakli teatralnych. Jego film fabularny „Anioł w Krakowie” został uhonorowany nagrodą za debiut reżyserski na Festiwalu Filmowym w Gdyni. W 2005 r. wyreżyserował „Zakochanego Anioła” – drugą część opowieści o Aniele Giordano (w obu główną rolę zagrał Krzysztof Globisz). „Prawdziwe życie aniołów” to trzeci film z tej serii, który do kin trafił w kwietniu tego roku. Obecnie można go zobaczyć na platformie Player.pl.

Partnerzy wydania:





OFERUJEMY:

- mięso drobiowe z własnej produkcji
- wędliny - ryby mrożone
- nabiał - konserwy mięsne i rybne
- pieczywo - wyroby garmazeryjne

SIEDZIBA FIRMY

ul. Chopina 6A

NOWY SĄCZ

tel. 18 547 29 03

SKLEPY FIRMOWE:

NR I - ul. Sobieskiego 9

NR II - ul. Chopina 8A

NOWY SĄCZ

www.gosdrob.pl



DLACZEGO WARTO JEŚĆ INDYKA ?



1. Ma najwyższe walory dietetyczno - zdrowotne.
2. Jest ubogi w tłuszcz i cholesterol, zawiera mniej nasyconych kwasów tłuszczowych niż pozostałe gatunki mięsa, ale więcej nienasyconych kwasów tłuszczowych.
3. Jest polecany osobom cierpiącym na miażdżycę, otyłość, nadciśnienie, cukrzycę oraz rekonwalescentom i alergikom.
4. Jest łatwy w przyrządzeniu.
5. Ma najwyższy poziom pełnowartościowego białka wśród mięs drobiowych.
6. Zawiera cenne składniki odżywcze np. magnez, potas, żelazo, fosfor, cynk, selen, witaminy: B1, B2, B3, B6, B12.
7. Zawiera L-tryptofan - aminokwas działający korzystnie na nastrój i przyspieszający regenerację organizmu.

Mięso i wędliny na każdy stół!

Partnerzy wydania:



RESTAURACJA VENUS
ZAPRASZA NA

SYLWESTER

369 ZŁ/OSOBA



NIEDZIELA | 31/12/2023 | 19:00

UL. RYNEK 1, CHEŁMIEC
ASTRO CENTRUM

REZERWACJA STOLIKÓW
18 548 94 59 WEW.1

Szczegóły na stronie www.orionchelmiec.pl



Partnerzy wydania:



OD **1986** ROKU



DOŚWIADCZENIE
I PROFESJONALIZM



RESTAURACJE
I HOTELE

Kompleksowa usługa w zakresie **prania, krochmalenia oraz maglowania** tak istotnych dla hotelarstwa i gastronomii rzeczy jak: obrusy, serwety, pościel, koce, ręczniki, firany, zastony, odzież firmowa.

MAGIK
pralnia

KLIENCI
INDYWIDUALNI

Nasi Klienci mają możliwość **prania wodnego oraz chemicznego, zarówno odzieży letniej jak i zimowej** m.in.: płaszcze, kurtki, garnitury, garsonki. Czyścimy również kożuchy, skóry a także dywany, obrusy, koce, pościel i narzuty.



15+ PUNKTÓW
PRZYJĘĆ

Obsługujemy **powiat nowosądecki, limowski, gorlicki i suski.**



Stary Sącz, ul. Nadbrzeżna 20, tel. 18 400 01 10

www.pralniamagik.pl

Partnerzy wydania:



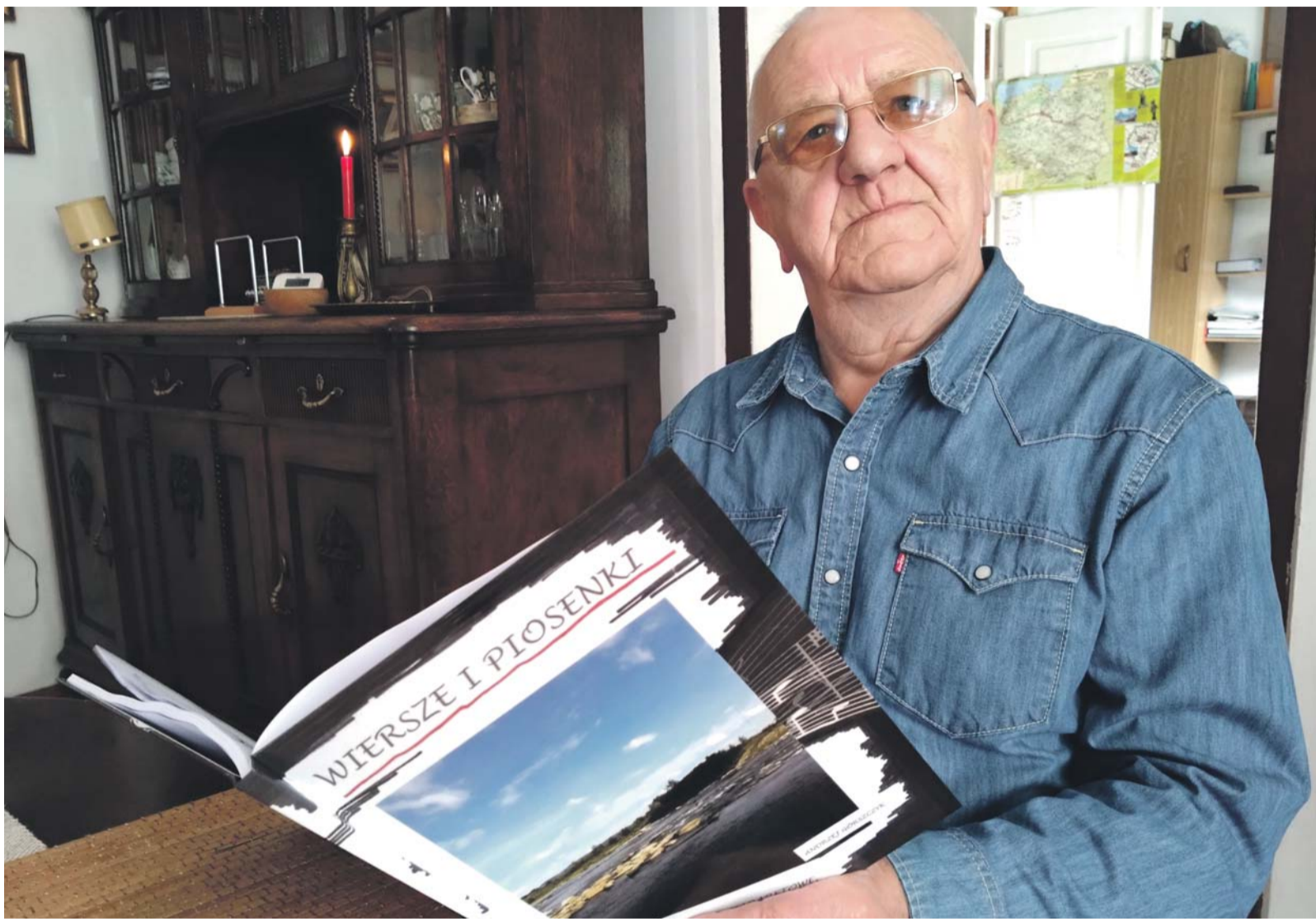


Titanic dumnie płynie, a muzyka ciągle gra

29 listopada Andrzej Górszczyk skończył 80 lat. Na urodziny do swojego ukochanego Rytra zaprosił rodzinę oraz kilku zaufanych znajomych. Niech sam jubilat rozstrzygnie, czy możemy ich nazwać przyjaciółmi. A w uczuciach Górszczyk jest stały. Koleguje się na zawsze albo wcale. I choć pewnie pół życia spędził na scenie, dzisiaj uparcie stroni od publicznych występów. A szkoda, bo Andrzejów Górszczyków Nowy Sącz nie miał zbyt wielu, a legendy należy pielęgnować...

Zresztą już na samo słowo „legenda” mocno by się zdenerwował, na szczęście to nie Andrzej Górszczyk decyduje, czy do grona sądeckich legend należy go zaliczyć. Jeśli więc nie miałby zostać przez jakąś omyłkę wpisany w poczet legend sceny i kabaretu (piszemy o tym w drugiej części tekstu), to możemy go śmiało wpisać do legend ph. „życie na wodzie”. Bez wchodzenia w szczegóły Górszczyk więcej czasu niż na scenie spędził na pokładach jachtów i kajaków. A prywatnie ma ich całą flotyllę i każdego roku spływa nimi najbardziej bystrymi rzekami. Bo ludzie bystrzy wybierają bystry nurt. Kiedyś pan Andrzej bardziej nawet lubił pływać pod prąd, stąd pewnie u 80-latka ciągle siła imadła w ręce. Kto ciekaw niech sam spróbuje. Wystarczy podejść do Andrzeja Górszczyka i np. życzenia urodzinowe mu złożyć. Pretekst do uścisku dłoni legendy może brzmieć tak: „Panie Andrzeju, przeczytałem o Panu w DTS, chciałbym/chciałabym pogratulować...” (i tu należy wstawić tekst własny jako ciąg dalszy).

Apropos pływania pod prąd... Przed laty Górszczyk rzucił obiecująco zapowiadającą się karierę w Warszawie i pod prąd Wisły i Dunajcem wrócił do Sącza. To oczywiście metafora, bo ta przeprowadzka pod prąd marzeń tysięcy rodaków o lepszym życiu w stolicy nie wymagała od niego pakowania mandżuru na łajbę. Ta decyzja zaowocowała później jedną z najsłynniejszych piosenek Andrzeja Górszczyka „Wróć do Sącza”... W ostatnich latach złośliwi zarzucali mu zbyt bliznie z władzą i to na najwyższym szczeblu. „Sprzedajesz się PiS-owi” – usłyszał pewnie Górszczyk kilka razy, placąc złośliwościami za swoje prywatne, wieloletnie kontakty z późniejszymi ministrami Joachimem Brudzińskim („Jojo”) i Markiem Gróbarczykiem („Gruby”) oraz występy na warszawskich salonach. Ale Górszczyk na to macha ręką i nawet się specjalnie nie denerwuje, choć denerwować się lubi. „Mnie to najlepiej



Andrzej Górszczyk ze swoją książką „Wiersze i piosenki”.

za komuny było. Minister kultury mi rękę ścisnął, nagrody przyznawał i pieniądze niezłe płacił” – kwituje 80-latek. Oczywiście przewrotnie i z dystansem do ludzkich opinii, na który może sobie już pozwolić.

Az okazji 80. urodzin sam sobie zrobił gustowny prezent wydając w kolekcjonerskim nakładzie swoje „Wiersze i piosenki”. Coś jak utwory zebrane. Sam zebrał, opracował i wydał. Bo Andrzej Górszczyk nie lubi się o nic prosić. Honorny jest jak góral – chciałoby się napisać – ale napisać tak nie możemy, bo każde dziecko wie, że Andrzej Górszczyk urodził się w Radomiu, więc jaki tam z niego góral? No dobrze, ale jeśli jakieś dziecko w Nowym Sączu nie wie jeszcze, kim był Andrzej Górszczyk, to właśnie jest okazja, by poszperać po źródłach i poszerzyć wiedzę, żeby nie ograniczać się tylko do ogólników, które myśmy tu dzielnie spisali. Dla ułatwienia: na portalu dts24 jest taka lupka, po wpisaniu w którą imienia i nazwiska naszego bohatera wyskoczy nam sporo tekstów na jego temat. A kto był na urodziny do Rytra proszony, ten wie, że zaproszenie kredkami osobiście wyrysował sam Jubilat. Przepięknie wyrysował tonącego Titanica ze swojej najsłynniejszej piosenki. Ale Andrzej Górszczyk – w przeciwieństwie do legendarnego okrętu – faktycznie jest niezniszczalny. I bardzo dobrze. Może by

nam kiedyś w Nowym Sączu zagrał na pianinie...

Jeśli Andrzej Górszczyk to Klub „Lachy” i Kabaret „Lach” Pisząc o nich nie można pominąć nazwisk osób kilku, które odegrały ważną rolę przy jego narodzinach. Oczywiście nie Górszczyka, ale jego kabaretu. Byli to Wojciech Dębicki, Bogumił Ciuła „Bobek” i Zenon Załubski. Wojciech Dębicki (1943 - 1993), absolwent prawa na UJ. W czasach studenckich był szefem klubu „Nowy Żaczek” w Krakowie. Był to okres debiutantów – Marka Grechuty, Maryli Rodowicz, Andrzeja Zauchy. Gdy wrócił do Nowego Sącza, został kierownikiem Spółdzielczego Domu Kultury „Lachy”.

Boguś Ciuła „Bobek” i Zenon Załubski w latach 70. pracowali w Sanepeidzie, gdzie założyli kabarecik „Bakcył”. Andrzej Górszczyk w latach 1977-1984 był etatowym pracownikiem Wojewódzkiego Ośrodka Kultury. Jak wiecie gminna niesie, wiosną 1978 r. panowie się spotkali w klubie „Lachy” i uradzili, że powołają do życia kabaret. Niestety, nie wiem, kto tę nazwę wymyślił, ale według mnie trop wiedzy do Wojciecha Dębickiego, bo miał największe z nich doświadczenie. O tyle było łatwiej, że nie trzeba było tęgiej głowy, by połączyć „Lachy” z „Lachem”. Kabaret obok Zespołu Pieśni i Tańca „Lachy” miał być kulturalnym ambasadorem Nowego Sącza i regionu. Andrzej Górszczyk

miał już przygotowane jakieś piosenki, skecz, a że był absolwentem szkoły muzycznej, sam przygrywał aktorem. Oczywiście był też reżyserem tych widowisk, sam nie biorąc w nich aktorskiego udziału. Tak w 1978 r. powstał pierwszy program pt. „Wszędzie dobrze” zaprezentowany jesienią 1978 r. publiczności w klubie „Lachy”.

Bobek Ciuła i Zenek Załubski byli prawdziwymi filarami „Lacha”, co na zasadach Flipa i Flapa, a w polskim wydaniu Zenona Laskowika i Bogdana Smolenia z kabaretu „Tey”. Bobek okazał posturę z wspaniałym vis comica wzbudzał śmiech samym pojawieniem się na scenie, zaś Zenek był mikrej postury. Górszczyk szukał też ładnych dziewczyn z talentem do tego duetu i nie prowadząc w dzisiejszym rozumieniu castingu wypatrzył studentki dwuletniego studium Kulturalno-Oświatowego m.in. Małgorzatę Sułkowską (Gosię białą) i Małgorzatę Szewczyk (Gosię czarną). Występowały też w kabarecie Beata Korczak, Ewa Sowa, Teresa Bobola. Ale głównymi artystkami na lata pozostały wspomniane dwie Małgorzaty. W tym zestawie – Bobek Ciuła, Zenon Załubski, Małgorzata Sułkowska, późnej Stobierska, Małgorzata Szewczyk i oczywiście Andrzej Górszczyk – najczęściej występowali na scenie w klubie „Lachy”, a także w konkursie kabaretowym w Zakopanem, gdzie w 1979 i 1982

zdobyli główną nagrodę „Złote Rogi Kozicy”. W pierwszych latach działalności kabaret niemal co miesiąc występował w „Lachach”, a później w miarę rosnącej popularności w wielu miejscowościach województwa nowosądeckiego. Spektakl „Wszędzie dobrze” z 1978 r., bardzo gorąco przyjmowany przebił jednak spektakl „Safari” a to za sprawą lepszej gry aktorskiej. Jednakże kolejny trzeci program pt. „Karawana” z 1980 r. zrobił ogólnopolską karierę za sprawą „Ballady o marynarzach z Titanica”. Ten szlagier nabrał specjalnego symbolu w gorących miesiącach sierpnia 1980 r. z uwagi na strajki na Wybrzeżu. Górszczyk stał się prorokiem, wizjonerem wydarzeń, wręcz bohaterem narodowym z genialnym wyczuciem dziejów. A przecież napisał ten tekst znacznie wcześniej, nim wybuchły strajki.

1979 - 1981 to były złote lata kabaretu „Lach” włącznie z udziałem Andrzeja Górszczyka i paru osób z kabaretu podczas strajku okupacyjnego sądeckiego ratusza 6 - 9 stycznia 1981 r. Potem działalność kabaretu osłabła w efekcie m.in. licznych zaproszeń ze swoim programem Andrzeja Górszczyka do zawodowych teatrów im. Ludwika Solskiego w Tarnowie i „Na Targówku” w Warszawie. To tam w chwilach zmagania się z zespołem aktorskim w 1984 r. powstał sądecki hymn „Wróć do Sącza”. I Andrzej wrócił, ale już nie miał serca do kabaretu.

(MOL, YES)

Partnerzy wydania:



*Nastrojowych i radosnych
Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych szczęśliwych zdarzeń
w nadchodzącym Nowym Roku
życzy Zarząd z pracownikami firmy Lumaro*

LUMARO
STOLARKA ALUMINIOWA I PCV

Podrzecze 157, 33-386 Podegrodzie
e-mail: oferty@lumaro.eu | tel.: +48 18 547 42 51

Partnerzy wydania:





„Wzruszająca, inspirująca opowieść o żywym Kościele. Ludzie takiego właśnie często szukają, ale zbyt rzadko znajdują. To jednocześnie uhonorowanie Człowieka i jego 23 lat pracy dla innych” – to przykładowe opinie tych, którzy już obejrzel ten film. Znajdź w te święta 30 minut, by przenieść się w inny świat. Niech reportaż „Jedenastka” – jeden dzień o. Andrzeja Chlewickiego na Jamnej, 26 listopada 2023 r. będzie dla Ciebie opowieścią wigilijną.

Oglądaj!



REKLAMA



Szanowni Państwo!

Niech Święta Bożego Narodzenia przyniosą Wam radość, nie tylko przy wigilijnym stole.

Niech ludzka życzliwość i dobroć dodaje Wam siłę, a łaska Nowonarodzonego Zbawiciela oświecila życiowe drogi.

Niech zdrowie i siła będzie udziałem każdego dnia, a Nowy 2024 Rok przyniesie pomysłość, szczęście i bezpieczeństwo.

Urszula Nowogórska
Poseł na Sejm RP



Partnerzy wydania:





*Pokój na ziemi ludziom,
 a w niebie cisza gwiazd,
 grają anieli,
 świat się chlebem dzieli.
 Świat ma dziś świąteczny blask...
 Pięknych i radosnych
 Świąt Bożego Narodzenia
 Oraz szczęśliwego Nowego Roku 2024
 wszystkim pracownikom szpitala, pacjentom
 i ich bliskim życzy
 Dyrekcja Szpitala Specjalistycznego
 im. A. Śniadeckiego w Nowym Sączu*

Partnerzy wydania:





Sądecki świat, którego już nie ma

»→ Justyna Stasiek-Harabin



FOT. PIOTR DROZDZIK

Obecna aranżacja łączy oryginalne wyposażenie rodzinnego domu malarki z eksponatami, które w naturalny sposób uzupełniły ekspozycję.

Gdy spaceruję nocą po mieście i w mijających oknach dostrzegam rozświetlone fragmenty mieszkań, zastanawiam się, jakby to było, gdybym mogła na moment, zupełnie niewidzialna, wejść do środka. Zdaje sobie sprawę, że brzmi to jak wyznaczenie podglądaczki, nie chodzi mi jednak o obserwowanie ludzi, ale o spojrzenie na przestrzeń, w której żyją i sposób w jaki zadbał o upiększenie swojej domowej codzienności. Co wisi na ich ścianach? Obrazy, fotografie? Czy mieszkanie jest nowoczesne? A może w eklektyczny sposób łączy to, co nowe z elementami z innych epok? Jest w samym centrum Nowego Sącza miejsce, które pozwala zaspokoić tę wewnętrzną ciekawość, a przy okazji daje niepowtarzalną okazję do przeniesienia się w czasie...

Na szczęście nie trzeba się tam zakradać po cichu, ani przeszkadzać domownikom, ponieważ od końca lat 70. XX wieku znajduje się tam muzealna ekspozycja urządzona w sposób tak naturalny i autentyczny, iż ma się tam nieodparte poczucie czyjejś obecności. Mowa o „Galerii Marii Ritter i Starych Wnętrzach Mieszczańskich” – oddziale Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu mieszczącym się w zabytkowej kamienicy pod adresem Rynek 2.

Kamienica ulokowana na długiej działce pomiędzy Rynkiem a

ulicą Wazów została zbudowana pod koniec XVIII wieku i gruntownie przebudowana po pożarze miasta, który wybuchł w 1894 r. Od połowy XIX wieku była własnością Feliksa Rittera, kupca, który przybył do Nowego Sącza z Węgier i w 1855 r. ożenił się z Józefą Kosterkiewiczówną. Jego syn, także Feliks, adwokat i sędzia z zawodu, poślubił Annę Wiśniewską. Małżeństwo miało pięcioro dzieci, w tym urodzoną w 1899 roku Marię, która swoje życie zdecydowała się poświęcić sztuce. Maria Ritter to bardzo interesująca, chociaż nieznana szerzej artystka. Swoją twórczą przygodę rozpoczęła w 1921 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie studiowała historię sztuki oraz filozofię, a także na Akademii Sztuk Pięknych, gdzie pod okiem wybitnych profesorów, m.in. Wojciecha Weissa oraz Xawerego Dunikowskiego szlifowała swój artystyczny warsztat. Na przełomie lat 1924–1925 udało jej się wyjechać do Paryża, europejskiej stolicy sztuki. Tam zaznała się z modnymi wówczas, nowoczesnymi kierunkami, a także kontynuowała edukację w prywatnych pracowniach Fernanda Légera, znanego francuskiego kubisty oraz Othona Friesza, któremu bliskie był impresjonizm oraz fowizm. Będąc w Paryżu, artystka utrzymywała również kontakty z Komitetem Paryskim, czyli grupą polskich malarzy zwaną kapistami (od skrótu KP), którzy

przebywali tam na stypendium pod okiem Józefa Pankiewicza.

Wszystkie te nowinki artystyczne, które Maria Ritter chłonęła, niewątpliwie wywarły wpływ na jej malarstwo, ale nie pozbawiły jej osobistego, indywidualnego spojrzenia na sztukę. Ritter była twórczynią nieustannie poszukującą, jej styl z biegiem lat ulegał świadomym przemianom. Na początku swojej drogi malowała realistyczne prace, inspirowane sztuką dawnych mistrzów, których dzieła chętnie kopiowała w ramach szlifowania warsztatu. Kolejno bliska jej była sztuka wspomnianych kapistów, odznaczająca się żywym kolorem. Prace późniejsze zdradzają pewną stylistyczną redukcję – forma ulega uproszczeniu, by finalnie zbliżyć się do abstrakcji, operującej ciekawą, urozmaiconą fakturą. Z chęcią malowała zarówno martwe natury, portrety, sceny rodzajowe, jak i prace o charakterze religijnym. Artystka nie ograniczała się jednak tylko do malarstwa. Jako osoba wszechstronnie wykształcona, zajmowała się również grafiką warsztatową, tworzyła rzeźby oraz polichromie do wielu małopolskich kościołów. Warto dodać, że była także oddaną społeczniką, której kulturalne środowisko nowosądeckie naprawdę sporo zawdzięczało.

Artystka mieszkała w kamienicy przy Rynku przez całe swoje życie. Jej siostra Wanda przejęła większość obowiązków domowych,

dzięki czemu Maria mogła skupić się na swojej artystycznej pasji. Jej pracownia mieściła się w pokoju, który niegdyś był kancelarią prawniczą jej ojca Felixa. Możemy sobie wyobrazić tę przestrzeń, artystyczny rozbudowany przedmiotów niezbędnych do pracy twórczej: dzieł sztuki na sztalugach, materiałów plastycznych, ram, zagruntowanych płócien czekających na swoją kolej, pędzli, farb. Obecnie w pokoju znajduje się symbolicznie zarysowany kącik twórczy, złożony z umieszczonych na stole osobistych rzeczy i przyborów artystki, a wewnątrz zdobi kilka rzeźb oraz kilkadziesiąt obrazów malarki, które, dzięki chronologicznemu ułożeniu, pozwalają prześledzić jej artystyczną drogę.

Trzy dalsze amfiladowo rozplanowane, duże pokoje niczym wehikuł czasu pozwalają przenieść się do początku XX wieku i uzmysłować sobie, jak wówczas wyglądało mieszczańskie mieszkanie, a co za tym idzie i codzienne życie. Wiele elementów już na pierwszy rzut oka wydaje się niezwykłych: wielkie kaflowe piece, bardzo wysokie pomieszczenia typowe dla kamienic, oryginalna stolarka

okien i drzwi, parkiet na podłodze, a przede wszystkim stylowe meble i dodatki tworzące niepowtarzalny nastrój miejsca. Na przestrzeni lat każde z pomieszczeń w kamienicy pełniło różne funkcje, natomiast obecna aranżacja łączy oryginalne wyposażenie rodzinnego domu malarki z eksponatami, które w naturalny sposób uzupełniły ekspozycję. Zestaw do gry leżący na stoliku, fortepian, piękny album ze starymi zdjęciami – wszystko wygląda tak, jakby jeszcze przed chwilą było używane, a domownicy na moment tylko skryli się przed odwiedzającymi gośćmi. Wizyta w Galerii oczaruje każdą osobę, bez względu na wiek. Trochę starsi odczuwają powiew rozczulającej nostalgii i z pewnością docenią nastrój miejsca, najmłodszy zaś z nieukrywanym zaciekawieniem przemierzają kolejne pomieszczenia i z zachwytem wsłuchają się w melodię wygrywaną przez nąkrecany polifon, który w „magiczny” sposób zadziała bez prądu. Tamtego świata już nie ma, odszedł bezpowrotnie, ale wciąż można go sobie na moment wyobrazić i przemilią wizytę w pięknym miejscu połączyć z lekcją historii – coraz bardziej odległej, chociaż wcale nie aż tak dawnej.

Obecnie zwiedzanie Galerii Marii Ritter w Nowym Sączu możliwe jest bez ograniczeń w godzinach pracy Muzeum Okręgowego.

Partnerzy wydania:





Zabieg, operacja to nic strasznego. O przebiegu zabiegów ginekologicznych w Szpitalu Medikor – opowiada dr n. med. Leszek Juszczyk

» Rozmawia Natalia Sekuła

W sądeckim Medikorze w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia przeprowadzane są zabiegi, operacje ginekologiczne, leczona jest również niepłodność. Kobiety mogą przyjść z każdym problemem i mniejszym i większym, terminy nie są odległe. Od kilku miesięcy ze szpitalem współpracuje DR N. MED. LESZEK JUSZCZYK – GINEKOLOG-POŁOŻNIK – specjalista ginekologii i położnictwa, jak również w dziedzinie chirurgii estetycznej kobiecych narządów.

– Nadal zdarza się, że kobiety ściszą głos, mówiąc o problemach ginekologicznych, czy te lata mamy już dawno za sobą?

– Myślę, że w takim mieście jak Kraków raczej mamy za sobą. Natomiast Nowego Sącza nie znam jeszcze na tyle, aby jednoznacznie orzec. Jest to bardzo szeroki rejon – to nie tylko Nowy Sącz, ale i okolice. Z mojej działalności kilku miesięcznej wynika, że pacjentki śmiało przychodzą z różnymi problemami. Przede wszystkim dotyczącymi szkód poporodowych, czyli z obniżeniem macicy, czy nietrzymaniem moczu.

– Ile w tym prawdy, że kiedy staramy się o dziecko, to dbamy o siebie, badamy się regularnie, sprawdzamy, jednak kiedy wchodzimy w okres menopauzalny, odpuszczamy wizyty. Kobiety nie są świadome, że profilaktyka jest ważna?

– Nie sądzę, żeby nie były świadome. Istnieje przekonanie wśród wielu kobiet w mniejszych miejscowościach, że przekwitanie jest to rzecz, którą trzeba przeżyć. Co więcej, kobiety do mnie przychodzą, widzę, że rodziły, że jest obniżenie macicy i dopiero kiedy zapytam, przyznają się, że mają problem z wysiłkowym nietrzymaniem moczu. Czyli dalej ten temat to trochę taki temat tabu. Problemy, o których mówimy, w okresie około przekwitaniowym mocno się nasila. To wynika z kilku faktów. Szkody poporodowe to jest jedno. Druga sprawa, to spadek poziomu estrogenów i trzecia to spadek innych czynników jak np. kolagen czy kwas hialuronowy. Jeżeli chodzi o kolagen, to w ogóle jest to temat, który do niedawna nie był tak mocno zauważony, bo estrogeny wiemy, że się obniżają, bo przestaje się mieszać. Natomiast kolagen, który jest strukturalnym białkiem, stanowi 30% białek organizmu. Tak naprawdę to od 25. roku życia o 1% rocznie spada, później niestety ten spadek przyspiesza. Mało optymistycznie powiem,

że po 60. roku życia – mam nadzieję, że to nieprawda, bo niektórzy piszą, że po 80. dopiero – ta produkcja kolagenu jest minimalna, co widać na zewnątrz. Również w narządach płciowych czyli w pochwie, jest to coś co powoduje różne problemy nie tylko te, o których już wspominałem, czyli wysiłkowe nietrzymanie moczu, ale także suchość pochwy, co utrudnia normalne życie kobietom, zwłaszcza w spóźnie.

– Jak się w takim razie przygotować na ten okres?

– Zapobiegać oczywiście można: zdrowym trybem życia, profilaktyką, regularnymi badaniami. Należy zwiększyć ilość wizyt, robić badania profilaktyczne m.in. USG piersi, mammografię, cytologię, ale i szereg innych badań. Jeśli menopauza nie utrudnia życia kobiecie, to nie trzeba leczyć, jednak jeśli jest inaczej, tzn. pojawiają się mocne uderzenia gorąca, bezsenność, drażliwość, problemy psychiczne, to musimy niezwłocznie udać się do lekarza po pomoc. Niezwykle ważna jest również fizjoterapia ginekologiczna.

– Na jaką pomoc mogą liczyć kobiety w tym okresie w sądeckim Medikorze?

– Tutaj najwięcej pacjentek, jakie do mnie się zgłosiło, było właśnie w okresie około przekwitaniowym. Problemy, z jakimi przyszły, to mięśniaki, obniżenie narządu rodnego i nietrzymanie moczu. Stosujemy różne metody operacyjne. Zanim jednak zoperujemy, stosujemy leczenie przygotowawcze, czasem operacji można uniknąć.

– Jakie zabiegi wykonuje Pan w Nowym Sączu?

– Wszystkie zabiegi wykonujemy na NFZ. Są to m.in. laparoscopia, laparatomia czyli leczenie mięśniaków, cyst, plastyka pochwy, taśmy na nietrzymanie moczu, jako jedna z metod leczenia. Generalnie zajmujemy się wszystkim, od leczenia niepłodności po histeroskopię. Aktualnie najczęstszym powodem histeroskopii są polipy trzonu macicy, które trzeba usunąć. Powodują one obfite miesiączki, czy krwawienia międzymiesiączkowe. Mogą być też przyczyną trudności z zajściem lub donoszeniem ciąży. Jest to zabieg bardzo częsty. Prawie nie ma dnia, żeby w Medikorze nie było histeroskopii.

– Wspomniał Pan wcześniej o problemach onkologicznych. Rak piersi jest najczęściej występującym nowotworem złośliwym u kobiet w Polsce, umiera na niego około

6 tysięcy kobiet rocznie. Do wstępnych badań mamy narzędzia w domu – własne dłonie. Co powinno nas zaniepokoić?

– Kobiety jeszcze mają takie przekonanie z XIX wieku, że jak jest guzek piersi, to lepiej go nie ruszać, to są absolutne zabobony. Po pierwsze własne ręce i samobadanie jest bardzo ważne. Natomiast pewnie nie wszyscy o tym wiedzą, ale obowiązek badania piersi jest przy każdej wizycie ginekologicznej. Jeśli pacjentka przychodzi raz w miesiącu na badanie ginekologiczne, to nie ma to sensu, natomiast jeśli pacjentka przychodzi na wizytę kontrolną raz na pół roku, czy rok, to jest taki obowiązek. Nawet taki obowiązek ma lekarz pierwszego kontaktu, ale ja nie słyszałem, by ktoś badał wtedy piersi. Do najczęstszych objawów, które powinny nas zaniepokoić należą: guzki, nierówności, wciągnięcie, czy wyciek z brodawki. Złotym standardem profilaktyki raka piersi jest stosowanie w jednym roku mammografii w drugim USG. Mówi się, że już od 35. roku powinniśmy zaczynać, ale jeśli są piersi podatne na choroby, czyli mastopatyczne, to dużo wcześniej. Zwykle zaczynamy od USG, nie jest ono mniej ważne od mammografii – uzupełniają się. Również robienie cytologii zaleca się raz w roku.

– No właśnie, cytologia... Rak szyjki macicy jest czwartym, jeśli chodzi o częstotliwość występowania, nowotworem złośliwym u kobiet na świecie, w Polsce rocznie umiera na niego 2 tysiące kobiet, globalnie ponad 340 tys. Pana zdaniem jak bardzo zmieniłyby się statystyki, gdybyśmy się regularnie badali?

– Przekonujemy do profilaktyki już od 30–40 lat, więc jest ogromny postęp w tej dziedzinie. Wcześniej to nie było takie oczywiste, że pacjentka robiła cytologię. Przedtem pacjentki mówiły: „Przecież mi nic nie dolega, po co mam robić cytologię?”. Teraz też czasem zdarza się jeszcze taka postawa. Przedtem robiło cytologię 5%–10% pacjentek, a teraz około połowa. Kobiety same upominają się o cytologię. To jest bardzo pozytywna zmiana. Świadomość kobiet zdecydowanie się zwiększyła w tym zakresie. Trzeba wiedzieć, że po 50. roku życia rak trzonu macicy zaczyna dominować, również rak jajników.

– Na raka jajników umiera około 2600 Polek, większość przypadków wykrywanych jest w zaawansowanym stadium choroby, co umożliwia jedynie ok. 25 proc. szans na 5-letnie przeżycie. Od jednego z lekarzy słyszałam,

że kiedy zaczyna boleć, to jest już za późno...

– Nie do końca tak jest, że jak zaczyna boleć, to jest za późno, ale faktycznie pacjentki przychodzą za późno. Często rak jajników nie daje objawów. Naszą czujność powinny wzbudzić nieregularne miesiączki oraz dolegliwości bólowe. Zmiany można wyłapać na wczesnym etapie najczęściej przy pomocy USG przezpochwowego. Pacjentki obciążone niektórymi chorobami powinny robić badania genetyczne, dotyczy to piersi jak również raka jajników. Jeżeli ktoś z rodziny, w linii żeńskiej, miał raka piersi, raka gruczołowego, czy raka jajników, to trzeba zrobić badania genetyczne. Przede wszystkim profilaktyka!

– Jak często zdarza się w Pana pracy sytuacja, że kobieta przychodzi z zaawansowanym stadiem raka?

– Takich historii mam wiele, niestety... W poprzednim szpitalu, w którym pracowałem, jedna z położnych, na którymś dyżurze przyznała się, że ma guza, który ma prawie 10 cm. Ta kobieta mogła w każdej chwili poprosić o zbadanie, nie zrobiła tego... Takich historii jest wiele, ale to się zmienia. Co ciekawe, coraz częściej przychodzą mamy pytać, czy trzeba szczepić dziewczynki na HPV. To będzie procentowało na przyszłość.

– Jak wyglądają w Polsce realia świadczeń z zakresu opieki ginekologicznej dla kobiet z niepełnosprawnością, poruszających się na wózkach? Spotkał się z opiniami wśród takich kobiet, że gabinety są niedostosowane. Znamy również przypadek, kiedy kobiecie sugerowano, aby usunęła ciążę, bo nie sprosta zadaniom matki ani nie urodzi...

– Nigdy nie doradziłbym nikomu, by usunęła ciążę z powodu niepełnosprawności. Przyjmuję i prowadzę ciążę pacjentek z różnymi niepełnosprawnościami. Obecnie, nie sądzę aby były takie trudności. Jeśli jednak są, to wynikają również ze strony pacjentek, które troszkę krępują się tej swojej niepełnosprawności. Wszystkie przychodnie w zasadzie są dostosowane do wózków, czy nawet na osoby leżące. Jeśli jest w tym temacie jakaś wątpliwość to po obydwu stronach. My jesteśmy przygotowani zarówno w gabinetach państwowych i w gabinetach prywatnych na przyjęcie takiej pacjentki. W sądeckim Medikorze pacjentki także nie spotykają się z żadnymi problemami w tej kwestii.

– Profilaktyka, to jedno, drugie to dostępność specjalistów... Zdarzają

się przypadki, kiedy kobieta w ciąży, szukając ginekologa na NFZ usłyszała, że termin w przyszłym roku, czyli po porodzie...

– Nie wyobrażam sobie, że w tym regionie jest taki trudny dostęp do ginekologa. Nie mogę się jednoznacznie wypowiedzieć na ten temat, ale gdzieś pewnie może się zdarzyć, że jest trudniejszy dostęp. Przychodnie muszą też zaproponować lekarzowi na tyle dobre warunki, by zechciał przyjeżdżać i przyjmować pacjentki. Przyznam, że jest dużo osób, które robią specjalizację z ginekologii. Nie jesteśmy jednak w stanie obstarwić wszystkie przychodnie. Wielu młodych lekarzy wyjechało z kraju.

– W sądeckim Medikorze nie ma problemu z dostępnością i terminami?

– Medikor robi wszystkie zabiegi dotyczące ginekologii w ramach funduszu i wszyscy lekarze są przygotowani do tych operacji. Zostałem poproszony o uzupełnienie tego zespołu i staram się to robić. Tutaj nie ma długich terminów, a u mnie tym bardziej, bo ja przyjeżdżam kilka razy w miesiącu, po to, by właśnie operować.

– Panie doktorze, odczarujmy te straszne terminy jak histeroscopia i laparoscopia. Niejednokrotnie w tym kontekście spotykam się u kobiet z grozą w oczach, opowieściami o ogromnych ranach na brzuchu, cierpieniu, krwi... Uspokójmy nieco przyszele pacjentki, jak to obecnie wygląda?

– Histeroscopia jest to zabieg, w którym wchodzimy do macicy przez szyjkę, wypełniamy ją specjalnym płynem i wprowadzamy endoskop, czyli konkretnie histeroskop. Lokalizujemy zmianę, usuwamy ją przy pomocy najczęściej elektrowygładzania, pod kontrolą wzroku. Zabieg jest krótki, trwający kilkanaście minut. Jedyny minus, to znieczulenie ogólne, trwa ono jednak bardzo krótko. Zwykle w tym samym dniu pacjentka idzie do domu.

– A co z laparoskopia?

– Zabieg polega na tym, że musimy wejść do brzucha przy pomocy trzech niewielkich otworów. Niektóre mają centymetr, niektóre mniej. Wypełniamy brzuch specjalnym gazem do tego przeznaczonym i uzyskujemy widoczność. Wchodzimy kamerą i przy pomocy narzędzi jesteśmy w stanie zrobić tam bardzo wiele. Nie ma żadnych szram na brzuchu, pacjentka po takiej operacji w ogóle nie ma praktycznie śladów.

Partnerzy wydania:





- W sądeckim Medikorze zajmuje się Pan również leczeniem niepłodności. Na przestrzeni lat zauważana Pan wzrost bezpłodnych par?

- Problem jest ogromny, bo on dotyczy teraz 20-30% małżeństw, które chcą mieć dzieci. Wynika to z naszego życia, czyli cywilizacji tego życia, szkodliwości tego, co jemy i pijemy, czym oddychamy. To, co widzę na półkach w hipermarketach, to trudno mi nawet powiedzieć, że jest to prawdziwe żywienie. Trudno jest z tego życia zrezygnować, bo nie możemy się zaszyć w buszu, a nawet jeśli - i tak by to niewiele dało, więc musimy żyć normalnie i przyzwyczaić się do tego, że czasem trzeba pomóc w staraniu o ciążę. Po to właśnie są lekarze, którzy się nie tylko trudnią diagnostyką, ale też leczeniem tego problemu. Mowa tutaj o różnych zabiegach jak inseminacja czy in-vitro. 10 lat temu byłem w Białymstoku, na wspaniałej uroczystości 25-lecia pierwszego in-vitro w Polsce. To było naprawdę coś wspaniałego. Przychodziły panie, które urodziły się z in vitro. Przychodziły one już ze swoimi, własnymi kilkuletnimi dziećmi.

- Obecnie w Sejmie trwają debaty na temat metody in-vitro, jej refundacji. Pana zdaniem refundacja tej metody, to jak zaznaczyła jedna z posłanek, zerwanie ze średniowieczem?

- Nawet trudno mi uczestniczyć w takiej dyskusji, bo nie chcę

wypowiadać się o tym, co było. Świat jest, jaki jest. Cały czas żyjemy w szkodliwym środowisku i to się nie zmieni, problemów z zajściem w ciążę będzie więcej. Jeśli nie pomożemy w uzyskaniu ciąży, to będzie dramat. Ludzkość się będzie zmniejszać, będą rozmarzać się tylko te rasy, które są bardziej płodne. Najmniej płodną jest rasa biała, czyli my właśnie. Nie bardzo rozumiem dyskusje na ten temat. Jeżeli mamy powodzenie w in-vitro w granicach 60% i więcej to jest to najskuteczniejsza metoda leczenia niepłodności, jaka istnieje. Oczywiście nie jest to jedyna metoda leczenia. Czasem leczymy mężczyzn i nie musi być to od razu in-vitro. Czasem leczymy kobiety, robiąc właśnie zabiegi typu laparoscopia, histeroscopia - umożliwiamy wtedy naturalne zajście w ciążę. Jednak ja tutaj nie chcę się wypowiadać, bo dobroczynność typu in-vitro jest osiągnięciem XX wieku, już nie mówiąc o XXI wieku.

- Z opowieści naszych babć wynika, że dziesiątki lat temu, jeśli para nie mogła doczekać się potomstwa, zakładano, że kobieta nie może mieć dzieci i kropka. Na przestrzeni lat zauważa Pan większą odpowiedzialność panów w tym temacie?

- Teraz nie zaczynamy żadnego leczenia bez diagnostyki obydwu stron, czyli także badania nasienia. Diagnostyka jednej strony nie ma sensu. Okazuje się,

że przyczyny niepłodności leżą dokładnie po połowie, zarówno po stronie kobiet i mężczyzn.

- Co to właściwie oznacza „leczenie niepłodności”. Jakimi metodami? Co po kolei takie pary mają zrobić? Od czego zacząć?

- Najpierw należy zacząć od diagnostyki obydwu osób. Później wszystko zależy od tego, jaką znajdziemy przyczynę. Jeśli przyczyna leży po jednej stronie, to leczymy tą jedną stronę. Jeżeli jest po obydwu, to leczymy dwie strony. Są to i większe i mniejsze przyczyny. Czasami spotyka się osoby o delikatnie obniżonej płodności - jeśli byłaby to jedna z tych osób, to pewnie udałoby się pokonać w naturalny sposób, ale jak już są dwie, to zwykle jest trudno. Można oczywiście poprawić spermogram, można poprawić ruchliwość, czyli morfologię plemników, przez odpowiednie leczenie. Jeśli u kobiety są proste rzeczy jak np. brak owulacji, to staramy się ją wywołać. Trudniej jest, gdy zdiagnozujemy obie strony i nie znajdziemy przyczyny, nie wszystko jeszcze wiemy. Działamy wtedy po omacku, ale zwykle i tak udaje się pomóc.

- Po jakim czasie starań para powinna zaniepokoić się tym, że nie udaje się zająć w ciążę?

- Jest to zwykle rok regularnych starań. Wynika to ze statystyk, że zdrowie małżeństwo zwykle w ciągu roku uzyskuje ciążę. Musimy

jednak wziąć pod uwagę inne warunki. Jeżeli przychodzi para, która ma powyżej 40 lat, to nie czekamy roku, ponieważ ten czas zacznie przyspieszać. Wtedy ten okres diagnostyki staramy się skrócić.

- Czy obecnie nadal możemy mówić o idealnym wieku na zostanie matką?

- Wiek idealny oczywiście istnieje, ale to zależy, jak do tego podejmiemy. Wiek biologiczny do rodzenia pierwszego dziecka to 20 - 25 lat. Drugiego najlepiej przed 30-tką. Teraz trudno powiedzieć, że tak się dzieje, ponieważ ten wiek idealny jest również warunkowany cywilizacyjnie. Teraz priorytetami jest zdobycie wykształcenia, znalezienie dobrej pracy i dopiero wtedy pary zastanawiają się nad ciążą. To wszystko, wiek pierwszej ciąży również, nieco podwyższy statystykę, jeśli chodzi o problem niepłodności.

- Odczarowaliśmy nieco terminy medyczne, to teraz chciałbym poznać, myślę, że nie tylko ja, ale i Pana przyszłe pacjentki, osobę, która może im pomóc. Jest Pan od lat ginekologiem-położnikiem, ale i specjalistą w dziedzinie chirurgii estetycznej kobiecych narządów. Ile lat już w zawodzie?

- Nie wypada mi powiedzieć, ile już pracuję (śmiech), ale bardzo długo. Na pewno jestem doświadczonym lekarzem, zarówno w dziedzinie operacyjnej, bo to jest moje podstawowe zajęcie. Natomiast wiele lat pracowałem

na położnictwie, na porodówce, więc jest mi to temat bardzo bliski. Doktorat robiłem z niepłodności. Moje doświadczenie dydaktyczne stara się wykorzystać, prosząc mnie, tak jak w tym przypadku, o współpracę między innymi z Medikorem.

- Poza pracą jest czas na inne pasje, zainteresowania? Boję się użyć słów wolny czas, bo jak Pan zaznaczył, ma pan mnóstwo pracy.

- Oczywiście, musi się znaleźć czas na aktywność sportową: siłownia, nordic walking, tenis stołowy...W młodości uprawiałem różne dyscypliny sportowe, ale obecnie skupiam się głównie na kibicowaniu. Jestem fanem muzyki nowoczesnej - pop, rap i temu poświęcam również dużą ilość czasu. Generalnie nie żyję tylko medycyną.

- Co mają zrobić kobiety, które chcą zostać Pana pacjentkami?

- Trzeba zadzwonić do Medikoru i umówić się na konsultację. Jestem tam dwa - trzy razy w miesiącu, wtedy gdy operuję i można spokojnie umówić się na wizytę. Należy mieć skierowanie od swoich lekarzy ginekologów. Problem, z którym będą przychodziły do nas kobiety, nie musi być duży, ale pomożemy w każdym. Zwyczajnie przychodźcie, badajcie się, dbajcie o siebie.

WIĘCEJ INFORMACJI:
TEL.883 024 444

Partnerzy wydania:





KARTA PODARUNKOWA

– Idealny prezent na Święta!



RESERVED



BERSHKA



Partnerzy wydania:



MUSZYŃSKI
PARK ŚWIATEŁ
RUSZAMY
ZAPRASZAMY



Partnerzy wydania:





Mieczysław Pajor został najlepszym cookiem u armatorów greckich, u których pływał ponad 10 lat.

Wigilie na równiku i cisza na lądzie

» Jerzy Widel

Przez te blisko 25 lat zwiedziłem niemal cały świat, może poza Nową Zelandią, Australią i Japonią – mówi Mieczysław Pajor. – Widziałem bardzo bogate państwa i wielką biedę np. w Indiach. Kilkanaście razy przepływałem równik, ale też pływałem za kołem podbiegunowym i to były straszne i wyczerpujące rejsy. W moim kambuzie miałem ciekawe i pracowite życie, bo spełniałem swoje kulinarne pasje. Kiedy sześć lat temu szedłem po raz ostatni ze statku, stałem się szczurem lądowym i przez kilka pierwszych miesięcy trudno było mi się przyzwyczaić do dziwnej ciszy na lądzie. Gastronomi miałem już dość. Nie wróciłbym do pracy w kuchni, w której przepracowałem 60 lat. Ale warto było zwiedzać świat!

Mieczysław Pajor mieszka w Nowym Sączu. Jest wychowankiem słynnego sądeckiego „gastronoma”, czyli Zespołu Szkół Gastronomicznych, kuźni talentów,

które w niejednym garnku gotowały. Dziś ma 76 lat.

– Ojciec był cieślą. Matka wychowywała naszą szóstkę, więc trzeba było się szybko usamodzielnic – wspomina pan Mieczysław. – Zawód ojca nie bardzo mi odpowiadał. Chciałem zostać cukiernikiem i tak trafiłem do Technikum Gastronomicznego pod opiekę mistrza nad mistrzami Władysława Farasia, który był szefem kuchni w restauracji „Dworcowa”. Wszystko, czego się nauczyłem w sztuce kulinarnej, zawdzięczam jemu.

Faraś był nadwornym kucharzem w pałacu Stadnickich w Nowojawowej. Dogadzał hrabiowskiemu podniebieniu. Po wojnie zaś był kucharzem w „Dworcowej”, a restauracja ta do 1974 r. była najsłynniejszą w Nowym Sączu ze względu na jakość potraw i godziny otwarcia. Była czynna od 6. rano do 3. w nocy. Miał się więc gdzie nastolatki Mietek nauczyć rzemiosła. Tu bowiem wyrabiano też całą garnażerkę dla innych sądeckich restauracji. Tam pracował do 1966

r. Potem wojsko zabrało mu dwa lata z życiorysu. Kiedy powrócił do swojej „Dworcowej”, już nie było tam dla niego miejsca.

– Musiałem przekwalifikować się na kelnera – wspomina. – Trafiłem do nieistniejącej już „Stropolanki” przy Rynku. W 1971 r. za namową kolegów przenieśliem się do restauracji „Orbis – Beskid”, gdzie pracowałem przez kilka lat.

Rok 1971 był dla Mieczysława Pajora ważny również z innych powodów. Ożenił się bowiem z uroczą panną Zofią, którą poznał... w cukierni „Fafik” przy ul. Wazów. Zofia zapewne nie zdawała sobie sprawy, że wychodzi za mąż za człowieka, który będzie w domu gościem przez najbliższe ćwierć wieku. Na swoje barki wzięła trud wychowania piątki dzieci, a mąż, zarabiając na dom, bywał a to w Ameryce, a to w Azji.

Ale to dopiero miało się wydarzyć. Na razie jesteśmy w latach 80. W hotelowej restauracji

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzymy Państwu wspaniałych chwil wypełnionych radością, miłością i życzliwością. Niech narodziny Chrystusa napelnia serca światłem, a nadchodzący Nowy Rok przyniesie wiele sukcesów, pomyslności i szczęścia.

Prezes Zarządu i Pracownicy



Boże Narodzenie 2023 r.



Partnerzy wydania:





zarobki robiły się coraz marniejsze. Nie wystarczało pieniędzy na wciąż powiększającą się rodzinę i wtedy pan Mieczysław zaczął rozglądać się za inną pracą. W ten sposób w latach 1984-85 trafił do ZSSR jako kucharz w bazie w Netiszynie na Ukrainie, gdzie mieszkało ponad trzy tysiące polskich pracowników zatrudnionych przy budowie elektrowni atomowej. To była harówka, bo trzeba było wyżywić masę ludzi, a kucharzy było zaledwie 30.

- Wróciłem z Ukrainy i zacząłem się zastanawiać, co dalej - opowiada. - Przez znajomych, którzy mieli jakieś doświadczenie, zgłosiłem się w 1986 r. do Polserwisu w Warszawie, do firmy, która zatrudnia Polaków na statkach w różnych zawodach - od kapitanów, przez mechaników, po kucharzy. Po kilkudniowych szkoleniach m.in. w Szczecinie i Gdyni oraz uzyskaniu specjalnych certyfikatów dotyczących pracy na tankowcach czy chemikaliowcach, zostałem kucharzem okrętowym, zwanym z angielska cookiem. Tak zaczęła się moja morska przygoda, moje życiowe wyzwanie. Był rok 1987.

Moim pierwszym statkiem był grecki zbiornikowiec „Athenian” pływający pod banderą irańską. Trafiłem więc do Zatoki Perskiej na wyspę Kharq, gdzie znajdowała się wielka rafineria - opowiada. - Statek też był potężny, ponad 50 tys. ton wyporności, nie mógł płynąć przez Kanał Sueski na Sycylię, więc płynęliśmy dookoła Afryki przez 51 dni. Na statku było 40 osób. Kapitanem był Grek, ale marynarzami byli też Polacy, w tym steward, który mi wiele pomagał. W sumie było na czterech - trzech kelnerów (stewardów) i ja sam w kuchni (kambuzie). Przygotowywałem obiady i kolacje, zaś stewardzi śniadania. Po tygodniu znalazłem uznanie w oczach kapitana, bo przychodził do mnie i osobiście zamawiał np. baraninę czy owoce morza. W Zatoce Perskiej pływaliśmy jedynie w dzień, bo nocą można się było natknąć na minę,

trwała wtedy wojna iracko-irańska. Podobne problemy mieliśmy też później, kiedy wybuchła wojna iracko-kuwejcka w 1990 r. W czasie tego pierwszego rejsu, kiedy przepływaliśmy równik, przypadła Wigilia i święta Bożego Narodzenia. Przygotowałem dla załogi wigilijny i świąteczny zestaw dań, typowo polski: barszcz, pierogi, kapusta, kaczka z jabłkami, indyk faszzerowany. To były niezapomniane święta. W sumie na tym statku spędziłem siedem miesięcy, pływając do portów azjatyckich czy Ameryki Południowej. Potem były kolejne statki armatorów greckich pod różnymi banderami: panamską, liberyjską, cypryjską.

Mieczysław Pajor został najlepszym cookiem u armatorów greckich, u których pływał ponad 10 lat. Zaprzyjaźnił się z wieloma osobami, a kapitanowie statków zabiegali o to, żeby to u nich gotował. Kiedy zakończył swój pierwszy, trwający dziewięć miesięcy, rejs i odpoczywał w domu, zadzwonił po niego kolejny grecki kapitan tankowca z informacją, że „Pejdżew”, tak o nim z angielska mówili, musi koniecznie trafić do niego do portu na Cyprze.

- To była zabawna historia, bo nie miałem telefonu w domu i musiałem chodzić na pocztę do centrali, żeby się z nim porozumieć - wspomina. - Mówili do mnie: załóż sobie wreszcie telefon i w żaden sposób nie mogli zrozumieć, że to nie jest takie łatwe, tak to było wtedy z telefonami w Polsce.

Mietek „Pejdżew” z czasem przejadł się tymi dalekimi rejsami trwającymi po siedem miesięcy. Owszem, bywały ciekawe poznawczo, ale lata upływały i żona się niecierpliwiła, samotnie, niczym mityczna Penelopa, czekająca na męża. Trafił więc przez znajomych do duńskiego armatora w Kopenhadze, który operował flotyllą tankowców zaopatrujących w paliwo kutry rybackie na morzach: Grenlandzkim, Norweskim, Barentsa czy na północnym Atlantyku. To było coś nowego! Był rok 1995, kiedy w



Mietek „Pejdżew” z czasem przejadł się tymi dalekimi rejsami trwającymi po siedem miesięcy. Owszem, bywały ciekawe poznawczo, ale lata upływały i żona się niecierpliwiła.

Kopenhadze zacumował na swój pierwszy duński statek „Emma”.

- Kiedy pływałem u greckich armatorów, to nierzadko leciałem samolotem do Singapuru, Dubaju, Kapsztadu, Buenos Aires, Ekwadoru. Tutaj do Kopenhagi miałem bliżej, jechałem z Nowego Sącza do Szczecina, a później busem do Kopenhagi. Na dużych tankowcach miałem wygodę i do pomocy kilku stewardów. Poza tym w wolnych chwilach, kiedy pływaliśmy po oceanach, na pokładzie mieliśmy do dyspozycji baseny czy też możliwość łowienia ryb. To był prawdziwy raj w porównaniu z tym, co było na północnym Atlantyku. Za to tu było lepiej, bo nie było tak długich rejsów, pracowałem w systemie - cztery miesiące na morzu, cztery na lądzie w domu, a później nawet w systemie - dwa miesiące na dwa. Ale bywało też strasznie. Kiedyś płynęliśmy z kanadyjskiego portu Saint Johnis, przez Grenlandię, Islandię na Spitzbergen. Noc. Sypie śnieg.

Wokół góry lodowej. Przywalała z hukiem w burtę. Nie można uleżeć. Statek, bo to były małe tankowce, cały czas wibruje i drży. Silnik huczy i wyje. Schodzę do kambuzu a tam Armagedon. Dobrze, że chociaż garnki powiązałem sznurkiem. Koszmarne widoki. A tu załoga chce jeść, bo jest głodna i wystraszona. Dobrze, że kapitan był Polakiem ze Szczecina, podobnie jak większość kilkunastoosobowej załogi. Trzeba było to przeżyć. Na tych tankowcach już nie było takich Wigilii i świąt jak na Oceanie Indyjskim czy środkowym Atlantyku. W portach północnej Norwegii sam musiałem zaopatrywać statki w żywność. Bez niczyjej pomocy piec codziennie chleby, ciasta, smażyć ryby. Dlatego gdy zacząłem się zbliżać do siedemdziesiątki, powiedziałem: - Dość tej poniewierki!

Nastal wreszcie ten dzień, kiedy w Kopenhadze opuszczał statek „Franke” pod banderą norweską.

Kapitan Leszek Orzełek z Kołobrzegu zrobił Mieczysławowi Pajorowi sympatyczną niespodziankę - uroczyste pożegnanie. Otrzymał pamiątkowy zegarek i pisemne podziękowanie. Na jego cześć wydano bankiet, a załoga żalowała, że Mietek „Pajdżew” nie będzie ich już żywić sądecką kuchnią.

- Wreszcie na lądzie, który nie ucieka spod nóg. Dziwna, klująca w uszy cisza, nie słychać wycia sztormu - wspomina z rozrzewaniem. - Nie ma obaw, że przy następnej górze lodowej zderzymy się z nią i pójdziemy na dno, nie zdążywszy odmówić „zdrowaśki”.

Koniec. Busem z Kopenhagi do Szczecina, stamtąd pociągiem do rodzinnego Nowego Sącza, gdzie czekała pani Zofia. Dzieci wyfrunęły w świat do Warszawy, Katowic, Stanów Zjednoczonych. Wszyscy spotkają się w rodzinnym domu na święta, w czasie których osiadły na lądzie Mieczysław Pajor pewnie będzie snuł morskie opowieści.

REKLAMA



Mieszkańcom Gminy Łososina Dolna oraz ich rodzinom i gościom, radosnych i błogostawionych Świąt Bożego Narodzenia oraz obfitego we wszelkie szczęście Nowego 2024 Roku. Oby nadchodzący czas był pełen dobrych i pięknych dni

życzą

Bolesław Oleksy
Przewodniczący Rady Gminy

Andrzej Romanek
Wójt Gminy

Partnerzy wydania:



ABCEKODOM
CENTRUM OKIEN DACHOWYCH

 **WYMIENŃ OKNA DACHOWE**
OSZCZĘDZAJ
NA RACHUNKACH

Przedtem

 **ABCEKODOM**
CENTRUM OKIEN DACHOWYCH

Nowy Sącz, ul. Węgierska 153
tel. (18) 547 11 36
602 518 623

www.abceksodom.pl
biuro@abceksodom.pl

Wymieniając wysłużone okna dachowe na nowe **zyskujesz** nie tylko cieplejszy dom i **niższe rachunki za ogrzewanie**, ale także długoletnią trwałość i wysoką estetykę.



Partnerzy wydania:



PIERWSZA EKOPRACOWNIA ODNAWIALNE ŹRÓDŁA ENERGII W NOWYM SĄCZU

Zespół Szkolno - Przedszkolny nr 6 w Nowym Sączu dzięki otrzymanemu dofinansowaniu z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) w ramach Programu Regionalnego Wsparcia Edukacji Ekologicznej utworzy i wyposaży pierwszą w Nowym Sączu ekopracownię dotyczącą odnawialnych źródeł energii. Szkoła otrzymała dofinansowanie w kwocie 75.000 zł z NFOŚiGW na realizację zadania pn.: „Utworzenie i wyposażenie ekopracowni w ZSP nr 6 w Nowym Sączu”. Działania prowadzone w ramach projektu pozwolą m.in. na wyremontowanie, pomalowanie pomieszczenia ekologicznymi farbami oraz umieszczenie fototapety prezentującej tematykę ochrony środowiska. Wyposażenie sali będzie nie tylko obejmować nowe meble, lecz przede wszystkim sprzęt multimedialny i pomoce dydaktyczne z zakresu przeciwdziałania emisjom, odnawialnych źródeł energii, niskoemisyjnego transportu oraz ochrony środowiska i gospodarki wodnej.

Ekopracownia będzie miejscem przygotowania i organizacji projektów, konkursów, akcji promujących ochronę środowiska na terenie Nowego Sącza i całego regionu. W ramach trwającego projektu jednym z działań było zorganizowanie Międzyszkolnego Konkursu Ekologicznego, poświęconego odnawialnym źródłom energii, który odbył się 8 listopada 2023r. W konkursie wzięło udział 36 uczniów ze szkół z terenu miasta Nowego Sącza.

Ekopracownia jako „zielone serce szkoły” ma w przyszłości służyć również społeczności lokalnej. To tutaj wiedzę ekologiczną będą zdobywać m. in. uczestnicy organizowanej co roku w mieście akcji „Bezpieczne wakacje”. Będzie ona ważnym narzędziem w kształtowaniu postaw proekologicznych u dzieci i młodzieży. Uczniowie, którzy mają możliwość zdobywania wiedzy i umiejętności w zakresie ochrony środowiska, są bardziej skłonni do podejmowania działań na rzecz ochrony planety, które są tak ważne w dzisiejszych czasach.



Partnerzy wydania:



„Wiadomości Sportowe” w trumnie

»→ Ireneusz Pawlik

Jak wiadomo, ziemia w Beskidach, obficie zroszona krwią ofiar I wojny światowej, usiana jest także cmentarzami wojennymi. Na jednym z nich, nr 365 w Tymbarku, znajduje się grób węgierskiego olimpijczyka Jenő Szantaya.

Szablista

Jenő Jozsef Tamas Pal Szantay urodził się 10 marca 1881 r. w Vacu nad Dunajem. Był sportowcem, szermierzem. Na Igrzyskach Olimpijskich w Londynie 1908 w I rundzie indywidualnego turnieju szablowego wygrał m.in. z 42-letnim hrabią Georgesem de la Falaise (właśc. Louis Verrant Gabriel Le Bailly de la F.) – mistrzem olimpijskim z Paryża 1900 w szabli oraz sześciokrotnym mistrzem Francji w szabli (1900, 1906, 1908, 1909) i szpadzie (1899, 1903).

W II rundzie wygrał m.in. z Willemem van Blijenburghiem – pierwszym Holendrem posiadającym doktorat z wychowania fizycznego oraz Siegfriedem Friedrichem „Fritz” Fleschem

– reprezentującym Austrię Żydem z Brna w Czechach.

W półfinałach wygrał z:

– Jenő Fuchsem – późniejszym zwycięzcą turnieju zarówno indywidualnego, jak i drużynowego, tak samo zresztą jak i na następnych Igrzyskach w Sztokholmie 1912, Żydem reprezentującym Węgry, który w ramach przymusowej hungaryzacji niemiecko brzmiących nazwisk nazywał się później Fekete;

– Marcello Bertinettim – późniejszym wicemistrzem drużynowym, a potem jeszcze trzykrotnym medalistą olimpijskim, w tym

dwa razy złotym, w drużynach szablowych i szpadowych, ponadto piłkarzem, nawet w tym samym roku, w którym odbywały się IO w Londynie, mistrzem Włoch w barwach klubu Pro Vercelli, którego w 1903 r. był współzałożycielem; jego syn Franco został drużynowym mistrzem olimpijskim w szpadzie w Helsinkach '52 i Melbourne '56, a wnuk – Marcello tak jak dziadek – olimpijczykiem z Montrealu '76;

– dentystą z zawodu Dezső Földesem (właśc. Grünfeld) – późniejszym mistrzem olimpijskim w turnieju drużynowym, tak samo

jak na następnych IO w Sztokholmie 1912.

Natomiast przegrał z:

– tym razem z de la Falaisem; – i kolejnym francuskim hrabią, 33-letnim Bertrandem de Lessepsem – synem wicehrabiego Ferdinanda de Lessepsa, dyplomaty oraz sławnego budowniczego kanałów Sueskiego i Panamskiego, a także ojca 12 dzieci, w tym Ismaëla, który na tych samych IO, co brat Bertrand, także był członkiem francuskiej ekipy szablistów oraz Mathieu, który reprezentował Francję w jeździectwie na IO w Paryżu 1900; Bertrand, tak jak

Szantay, też zginął w czasie I wojny światowej – 28 sierpnia 1918 r. w Cauvigny w Pikardii.

W finale Szantay przegrał:

– tym razem z Fuchsem; – i kolejnym reprezentantem Węgier, 39-letnim Słowakiem Belą (właśc. Vojtechem) Zulawskim – majorem armii austro-węgierskiej, który także zginął w czasie I wojny światowej – 24 października 1914 r. w Sarajewie, czyli tam, gdzie ona się rozpoczęła;

– 39-letnim reprezentantem Czech Vilémem Goppoldem von Lobsdorfem, którego dwaj synowie Vilem i Karel razem z ojcem reprezentowali Czechy w szermierce na następnych IO w Sztokholmie.

Zaś wygrał:

– z rodakami Peterem Tothem i Lajossem Werknerem i ponownie z de la Falaisem.

Oraz zremisował z Jetze Doormanem, który oprócz tego, że jak każdy Holender w owym czasie był panczenistą, to ponadto olimpijczykiem w pięcioboju nowoczesnym.

W turnieju indywidualnym Szantay zajął ostatecznie

**Przybyłem w samą porę, gdyż pośród wielu Moskali
ujrzałem walczącego pana rotmistrza Szantaya.
Na prawo i lewo leżą obok niego rżący Moskale,
a on stał pośrodku, ściskając w ręce złamany karabin.
Ale z jego czołem coś nie tak, on też krwawi,
czerwona krew spływa cienką stróżką**

REKLAMA

Na Święta Bożego Narodzenia życzę dużo zdrowia, radości, szczęścia i pokoju. Niech ten wyjątkowy czas upłynie w serdecznej atmosferze, w gronie Rodziny i Przyjaciół. Błogosławionych Świąt Narodzenia Pańskiego!

Witold Kozłowski,
Marszałek Małopolski

Partnerzy wydania:





4. miejsce, a w turnieju drużynowym, który Węgrzy wygrali, nie wystąpił, zastąpiony przez Oszkara Gerde (właśc. Goldberger), drużynowego zwycięzcę także kolejnych IO w Sztokholmie, Żyda, który nie przeżył uwięzienia w obozie koncentracyjnym Mauthausen w czasie II wojny światowej. Dwaj inni członkowie tej drużyny węgierskiej zginęli w wypadkach samochodowych w Budapeszcie: Werkner w 1943 r., a Toth w 1967 r.

Śmierć rotmistrza

Ale przede wszystkim Szantay był żołnierzem. W przededniu I wojny światowej służył w 9 regimencie (pułku) huzarów (kawalerii lekkiej), dowodząc szwadronem karabinów maszynowych. Rittmeister, czyli rotmistrz Szantay, zginął niedługo po rozpoczęciu działań bojowych - 11 grudnia 1914 r. Z „Wojny galicyjskiej” (2008) Juliusza Batora dowiadujemy się: „Pułkownik Muhr wydał rozkaz do ataku: <Za mną, synowie!>, po czym z okrzykiem <Niech żyje cesarz!> stanął na czele pułku, a dzielni huzarzy rzucili się na przeważające siły wroga i zaraz dostali się pod ogień karabinów maszynowych... Pierwszy padł Jenő Szantay”.

Ferenc Julier w książce „Bitwa pod Limanową 1914” (2015) cytuje wspomnienia uczestników tych walk. Rotmistrz Arthur Zalay: „9 pułk huzarów zaczął wspinaczkę na utraconą część stanowiska, z której jednak skierowano przeciw niemu ogień z rosyjskich karabinów maszynowych. Pierwszy poległ porucznik Szantay (śmiertelny strzał w głowę)”. Porucznik Geza Braun: „W oddziale karabinów maszynowych ranni zostali rotmistrz Cserhalmy i podporucznik Babics, rotmistrz Szantay zginął jako bohater, oddział karabinów maszynowych stał się niezdolny do walki...”. Porucznik Janos baron Bees-Chrostin: „W jednym miejscu leżał rycerski rotmistrz Szantay, w innym - piękny hrabia von Thun und Hohenstein”.

O śmierci Szantaya wspomina także Ferenc Molnar (właśc. F. Neumann), autor zapomnianej już niestety, ale kiedyś obowiązkowej pozycji literatury młodzieżowej, wspaniałych „Chłopców z Placu Broni”. W czasie I wojny światowej Molnar był korespondentem frontowym i pisał do gazet m.in. o bojach pod Limanową. Jego artykuły z tego czasu zebrano w książce „Galicja 1914-1915” (2011) - tamże czytamy: „Tymbark, ze swoim kościołem i domami o czerwonych dachach, leży spokojnie wśród bujnej zieleni, pod ciemnobłękitnym niebem, niczym jaskrawy plakat lub kolorowa pocztówka. Cmentarz. Pułkownik Othmar Muhr, rotmistrz Szantay... Przywiódł ich tu z limanowskich wzgórz generał Arz, który pewnego razu opowiadał ze wzruszeniem, że na cmentarzu tymbarskim śpią wiecznym snem węgierscy huzarzy”.

Ten Arz to wówczas generał - porucznik Arthur baron Arz von Straussenburg, dowódca VI Korpusu, biorącego udział w bitwie pod Limanową i Łapanowem, a w końcu wojny nawet szef Sztabu Głównego armii austro-węgierskiej w stopniu generała-pułkownika.

Zarówno dowódca 9 regimendu huzarów plk Muhr, jak i rotmistrz Szantay, zginęli na wzgórzu Jabłoniec pod Limanową, nazwanym przez Molnara „huzarską Golgotą”. Tamże w miejscu śmierci Muhra, na cmentarzu wojennym nr 368, stanął jego pomnik, ale ciało pułkownika ekshumowano i pochowano w grobowcu rodzinnym na Węgrzech.

W tej samej bitwie zginął wspomniany oficer tego samego regimendu huzarów - rotmistrz Leonhard hrabia von Thun und Hohenstein. I jego szczątki przeniesiono w rodzinne strony - jeszcze w końcu 1914 r. do mauzoleum rodzowego w Czechach. Pomnik von Thuna und Hohensteina, zatwierdzony przez projektanta austro-węgierskich nekropolii wojennych Gustava Ludwiga, akurat właśnie wtedy przebywającego w sanatorium w Krynicy i wykonany przez firmę kamieniarską z okolic Paczkowa na dzisiejszej Opolszczyźnie, stoi na łące obok



Grób Jenő Szantaya w Tymbarku.

cmentarza nr 368 na Jabłoncu. Po dziesięcioleciach w ten arystokratyczny ród wżeniła się polska europarlamentarzystka Róża Woźniakowska, po mężu właśnie von Thun und Hohenstein.

Grób

Pprzed cmentarzem nr 365 w Tymbarku stoi tablica, na której umieszczono relacje towarzyszy broni z ostatniego boju rotmistrza - sportowca: „Ze szczytu wzgórza słychać było przerażające krzyki i wrzaski, spieszeni huzarzy biegli naprzód i potworne jęki rozlegały się w ciemnościach. Żadnych poleceń, nic. Tylko tępe uderzenia, jakby las ścinano. Teraz już wiedziałem, że to huzarzy karabinami tną Moskali. Za szczytem wzgórza walczył człowiek przeciwko człowiekowi. Tak naprawdę to jeden Węgier przeciwko czterem-pięciu Moskalom. Nie strzelali, tylko kolbami karabinów i pięściami tłukli się nawzajem na śmierć i życie. Przybyłem w samą porę, gdyż pośród wielu Moskali ujrzałem walczącego pana rotmistrza Szantaya. Na prawo i lewo leżą obok niego rżęzący Moskale,

a on stał pośrodku, ściskając w ręce złamany karabin. Ale z jego czołem coś nie tak, on też krwawi, czerwona krew spływa cienką stróżką.

- Panie rotmistrzu, panie rotmistrzu Szantay! - krzyknąłem, gdy osunął się prosto w moje ramiona. Ale nie odpowiedział już ani słowem i on biedny też zmarł”.

Bitwa trwała, a ciała zabitych spoczywały na polu. Uczestnik walk tak o tym opowiedział: „Wszystkie zwłoki były obrabowane. Dzisiaj o godzinie 10 był pogrzeb. (...) Tak spoczęli na jodłowych gałęziach w drewnianych trumnach na cmentarzu w Tymbarku rotmistrz hrabia Thun, podporucznik Mohr, rotmistrz Takacs, pułkownik Muhr, dwaj huzarzy z dziewiętego, a w końcu podporucznik Bauer, porucznik Hartmann, rotmistrz Fejer, chorąży Kazi, rotmistrz Bernolak, rotmistrz Szantay”.

„Na jodłowych gałęziach (...) w Tymbarku”. Tylko na takich mogli tam spocząć, skoro nazwa Tymbark pochodzi od niemieckiego Tannenberga - Jodłowa Góra...

A oto inna relacja z tego samego pogrzebu: „[Szantay] Zginął od kuli wroga dnia 11 grudnia

1914 o 7 rano. Nie cierpiał. Walka trwała cały dzień i noc bez przerw, więc jego zwłoki z pola bitwy przynieśliśmy dopiero dzisiaj o świcie. Umieściliśmy je w kaplicy na pobliskim cmentarzu w Tymbarku, a dzisiaj o godzinie 11.30 wraz z sześcioma innymi oficerami (wczoraj pochowaliśmy dziewięciu) złożyliśmy go do wspólnej mogiły. Dla innych jeszcze starczyło trumien, ale dla biednego Szantaya udało nam się zdobyć jedynie trumnę skleconą z nieheblowanych desek. Zanim dwie deski służące za wieko trumny zostały zabite gwoździami, za pozwoleniem pełniącego służbę oficera, umieściłem u jego stóp pół egzemplarza <Wiadomości Sportowych>, którą to gazetę otrzymałem dnia 7 grudnia”.

Na grobie figuruje niemiecka wersja imienia Szantaya - Eugen. Na cmentarzu w Tymbarku pośmiertnymi towarzyszami Szantaya zostali m.in. baron Jozsef Kazy von Garamveszele i dowódca rosyjskiego pułku Kozaków dońskich Dymitr Iwanowicz Bielkusow.

REKLAMA



BOŻE NARODZENIE 2023

Życzę Państwu radosnych

Świąt Bożego Narodzenia

pełnych ciepła i miłości, a także wszelkiej pomyślności
w nadchodzącym Nowym Roku.



Niech te świąteczne chwile spędzone w gronie najbliższych
będą pełne spokoju i wzajemnej życzliwości...

Andrzej Gut-Mostowy

Andrzej Gut-Mostowy
POSEŁ NA SEJM RP



Partnerzy wydania:



www.borys.com.pl

BORYS

NOWY SĄCZ:

- Wałowa 6
- Galeria „Trzy Korony”
- Galeria Sandecja
- Hipermarket „Auchan”
- Europa II Plaza

Bezpieczne transakcje, sprawdzone doświadczenie.

Twój kantor od 1989 roku.

FIRMA “BORYS” A.KULIG SP.K.

Biura Wymiany Walut BORYS to sieć kantorów działająca od 1989 r. Jesteśmy jedną z najstarszych tego typu instytucji działających na polskim rynku. Posiadamy bardzo duże doświadczenie w działalności walutowej. Współpracujemy z największymi

bankami w Polsce, dzięki temu jesteśmy w stanie świadczyć nasze usługi na najwyższym poziomie. Swoją ofertę kierujemy do klientów indywidualnych, a także podmiotów gospodarczych. Zapraszamy do naszej głównej siedziby na ulicy Wałowej 6 oraz do innych punktów zlokalizowanych na terenie Nowego Sącza.

Partnerzy wydania:





Z okazji Świąt Bożego Narodzenia dobrego słyszenia dla obecnych i przyszłych Klientów życzy Gabinet Amplifon w Nowym Sączu, ul. Grodzka 5

Już od 10 lat pomagamy lepiej słyszeć!

amplifon Aparaty słuchowe

Utrata słuchu – gdy rozmowa staje się wyzwaniem

Już za kilka dni Święta Bożego Narodzenia, czas rodzinnych spotkań i rozmów z najbliższymi. Spotykamy się z rodziną i przyjaciółmi, z którymi na co dzień nie mamy czasu usiąść i porozmawiać. W tych kilka dni nadrabiamy często cały rok, a co za tym idzie, tematów do rozmów nigdy nie brakuje. Pomyśl, że jesteś z najbliższą rodziną na kolacji wigilijnej. Wszyscy czekaliście na ten wieczór, zarówno aby spróbować potraw, jak i dowiedzieć się co słycać u każdego z was. Niestety, zamiast cieszyć się ze spotkania, tylko się denerwujesz.

Przez cały wieczór masz trudności, aby zrozumieć co kto mówi. Twoich rozmówców zagłusza gwar innych gości i okazjonalne hałasy z kuchni. Koniec końców, jedyne, na co masz ochotę to wrócić do domu, gdzie jest na tyle cicho, aby zrozumieć co mówią do ciebie bliscy.

Dla milionów ludzi na całym świecie, którzy mają problemy ze słyszeniem, tego typu sytuacje to codzienność. Trudności z nadążeniem za rozmową to jeden z pierwszych objawów utraty słuchu a prośba do znajomych o głośniejsze wypowiedzi w naszym towarzystwie, z pewnością nie będzie komfortowa.

Nie warto czekać na pogorszenie sytuacji - niedosłuch jest obecnie jedną z bardziej powszechnych przypadłości. Cierpi na niego statystycznie już co piąty Polak.

Aparat słuchowy receptą na utratę słuchu

Problemy ze słuchem mogą zostać zminimalizowane za pomocą aparatów słuchowych. Precyzja i jakość aparatów słuchowych znacznie wzrosła ostatnimi czasy. Dzięki ulepszonym procesom produkcji są one bardziej dyskretne i wygodniejsze w użytkowaniu. Pomimo że aparaty słuchowe nie są w stanie cofnąć zmian, które już zaszły, to mogą one znacznie zmniejszyć związane z nimi niedogodności.

Aparaty słuchowe to dziś jedno z powszechniejszych urządzeń, zdobywające coraz większą popularność, obok okularów i opasek korekcyjnych. Dzisiejszy aparat to mały, dopasowany do kształtu ucha gadżet, ułatwiający życie i rozwiązujący wiele problemów, zarówno komunikacyjnych jak i tych związanych z codziennością i bezpieczeństwem np. na ulicy. Bez obaw można nosić go przez cały dzień, a czyszczenie i wymiana baterii są proste i intuicyjne. Często też pacjenci decydują się na aparaty ładowalne.

Pamiętajcie- aby aparat słuchowy był jak najlepiej dopasowany do właściciela należy skorzystać z pomocy doświadczonego dyplomowanego protetyka słuchu.

Aby w kolejne Święta usłyszeć piękne życzenia i spędzić je swobodnie w gronie rodziny warto w Nowy Rok wkroczyć z dobrymi postanowieniami i umówić się na badanie w naszym renomowanym Gabinecie Amplifon na ul. Grodzkiej 5. **Gabinecie, który cieszy się zaufaniem Pacjentów już od 10 lat!**

REJESTRACJA TELEFONICZNA WIZYTY: 784 416 334

Gabinet Amplifon

ul. Grodzka 5, 33-300 Nowy Sącz

Telefon: 784-416-334 amplifon-pl-nowysacz01@amplifon.com

*Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
życzymy nastrojowych chwil wypełnionych życzliwością, miłością
i rodzinną atmosferą,
a Nowy Rok niech obfituje w pomysły
oraz przyniesie satysfakcję z podejmowanych wyzwań*

Zarząd i Pracownicy

Global System
NO SMOKE. NO FIRE

Partnerzy wydania:



Re-
trans-
misja

KINO SOKÓŁ
NOWY SĄCZ



ANDRÉ RIEU

Snieżne Boże Narodzenie

27 grudnia 2023

godz. 17:00 | środa

Bilety w kasie MCK SOKÓŁ
i online na kino-sokol.pl
30 zł - w przedsprzedaży,
35 zł - w dniu pokazu

Małopolskie
Centrum Kultury

SOKÓŁ
ZAPRASZA
mcksokol.pl

idealny
POMYSŁ
na
PREZENT

KARTA
PODARUNKOWA

KARTA DOSTĘPNA
W KASIE MCK SOKÓŁ

Partnerzy wydania:



Historia zapomnianego królestwa, z którego zrodziły się narody

Norman Davies w swoim najlepszym stylu przedstawia losy ziem dawnej Rzeczypospolitej, na których okrzepły narody współczesnej Europy Środkowo-Wschodniej i przez stulecia współistniały wyznania religijne. Jest to historia o miocie i legendzie Galicji opowiedziana nie tylko z perspektywy wielkich wydarzeń ale także oczami zwykłych mieszkańców tych ziem.

To tam w czasach rozbiorów przetrwała polskość i zrodziła się idea narodu ukraińskiego.

To tam przeplatały się losy Habsburgów i Potockich.

To tam na jednej ulicy można było usłyszeć język polski, niemiecki, jidysz i ruski.

Davies nie snuje idyllicznej opowieści. Jego Galicja jest słodko-gorzka.

Galicja felix, niebo na ziemi, raj utracony. Choć ludzie mają silną tendencję do demonizowania rzeczywistości, widać zarazem pragnienie do jej ubóstwienia oraz idealizowania. W dziejach Galicji znajdujemy wiele dowodów na jedno i drugie. (...)

W Galicji normą był pluralizm religijny. Każda społeczność zamieszkiwała własną, oddzielną bańkę, i każdy praktykował wiarę na swój sposób. Rzymscy katolicy obchodzili Boże Narodzenie w grudniu, grekokatolicy zaś w styczniu. Wielkanoc łacińska przypadała 14 dni przed bizantyjską. Żydzi obchodzili własne święta: Chanukę, Rosz Haszana, Purim, Paschę i Jom Kippur. Chrześcijanie uznawali niedzielę za dzień święty, a Żydzi przestrzegali szabatu, który zaczynał się o zachodzie słońca w piątek. Te różnice nie przeszkadzały nikomu – Norman Davies.

NORMAN DAVIES,

GALICJA. HISTORIA NIE NARODOWA. WYD. ZNAK HORYZONT, 2023 R.

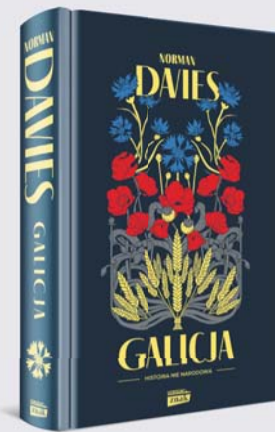
Fragmenty książki:

Przywódcy Dyktoryjatu przesłali z Paryża szczególną pochwałę:

„Waleczni Polacy! Niemogliście wyrwać ojczyzny waszej z ujarzmienia, lecz przysięgliście bronić wolności wszędzie gdzie ona podniesie swój sztandar. Z odwagą jej godną walczyliście też w dniu 6 Germalinal. Dyktoryjat wykonawczy, któremu wódz naczelny armii włoskiej zdał sprawę z tej walki, wyraża wam swoje zadowolenie.”

Sam Napoleon nie potrafił mówić o Polakach bez użycia przymiotnika brave; w jego ocenie byli les plus braves des braves, a więc „najdzielniejszymi z dzielnych”.

W następnym roku 1846 objawili się krakowscy spiskowcy, którzy w opublikowanym 22 lutego manifestie obiecali chłopom pańszczyźnianym z Galicji wyzolenie w zamian za dołączenie do powstania. Przeżyli jednak bolesny zawód, a wszelkie złudzenia szybko się rozwiały. Austriacka policja dobrze wiedziała o ich zamiarach. Kierujący organami ścigania w Wiedniu hrabia Sedlnitzky oraz dyrektor policji w gubernium galicyjskim baron von Sacher-Masoch od dawna monitorowali granicę, zatrzymując



powstańców kurierów i konfiskując przewożone publikacje.

W nowych strukturach cesarstwa Galicja trafiła do austriackiego sektora zwanego Cisleithanią (Przedlitawią)*. Pod wieloma względami nie zmieniło się nic, a zarazem zmieniło się wszystko. Galicjanie nadal mieszkali w prowincji rządzonej przez Wiedeń, a ich cesarzem pozostawał niezbyt lotny Franciszek Józef. Niemniej do niedawna w Galicji panował nieelastyczny, autokratyczny, a zarazem niewydolny ustrój, a teraz mieli do czynienia z cesarstwem, które zmieniło kurs i stało się bardziej skłonne do kompromisu, tolerowania różnic narodowych oraz regionalnej autonomii.

22 sierpnia Piłsudski, nie czekając na formalne pozwolenie, wydał rozkaz o utworzeniu Legionów Polskich. Wiedział, że Austriacy nie będą mogli odmówić. Do nowych formacji napływali ochotnicy, w tym pokaźna grupa spolonizowanych Żydów, których przyciągała zarówno antyrosyjska postawa Legionów, jak i tolerancja Piłsudskiego w sprawach rasowych oraz religijnych. Początkowo powstały dwie jednostki – Legion Zachodni w Krakowie i Wschodni we Lwowie. Rosyjskie natarcie poskutkowało jednak rozwiązaniem rodzącego się dopiero Legionu Wschodniego – pozostał tylko złożony z kilkunastu pułków i trzech brygad połowych Zachodni. Przepiękny, rozdzierający serce hymn Legionów stanowił wyzwanie rzucone przeciwnikom.

Mieszkańcy Galicji, których nikt nie pytał o zdanie, odczuwali zupełną bezsilność. Ku ich zaskoczeniu okazało się, że ziemie za Zbruczem nie należą już ani do cara, ani do Rosji Sowieckiej, lecz do ukraińskiego protektoratu, którego wojska przemieszczały się teraz na sąsiadujące z Galicją Wschodnią terytoria Podola i Wołynia.

REKLAMA

Suzuki S-Cross już od 99 900 PLN



AUTO-COMPLEX

Autoryzowany Dealer Suzuki
P.U.H Auto-Complex Sp. z o.o
33-311 Wielogłowy 188

18 443 22 33

www.auto-complex.pl

Partnerzy wydania:





Mala Aga w domowej akademii i jasełka angażowała starszego brata i młodszą siostrę. Pisała scenariusze. W czasach szkolnych w jej życiu królował jednak taniec. Zawsze chciała, by niósł ze sobą jakieś emocje, a nie był tylko wyuczonymi krokami wykonanymi na scenie. Po latach rodzice wciąż oglądają występy Agnieszki. Pojawiają się na premierze każdej sztuki w zakopiańskim teatrze Witkacego, w której gra ich córka.

Kiedy Agnieszka Michalik zdała na studia w krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych, a dokładnie na Wydziale Teatru Tańca w Bytomiu, nie myślała o aktorstwie. Przecież od zawsze tańczyła i z tą dziedziną wiązała swoją przyszłość. Od podstawówki chodziła na zajęcia z tańca nowoczesnego do nowosądeckich szkół tańca, gdzie uczyła się m.in. hip hopu oraz jazzu. Różnego rodzaju warsztaty i obozy taneczne,

występy, konkursy – to była jej codzienność. Od 16. roku życia prowadziła nawet swoje grupy taneczne. Jednak już na początku studiów poczuła, że chciałaby się zawodowo związać z teatrem. Znalazła nową miłość, a właściwie miłości...

– Kamil studiował o rok wyżej niż ja i tak się zaczęła nasza wspólna przygoda. Jesteśmy razem już jedenaście lat, a pięć lat temu wzięliśmy ślub – opowiada Agnieszka. Ich wspólną miłość do tańca można było wyraźnie zobaczyć nawet na ich weselu. Gdy przeciętna młoda para kołysze się niepewnie w rytm muzyki podczas tzw. pierwszego tańca, oni zapewnili swoim gościom

prawdziwe show. Do występu dołączyli ich przyjaciele z uczelni i tancerze wspólnie wykonali fragment sceny ze spektaklu.

Zakopane

Pod koniec studiów sędzianka zaczęła się zastanawiać, gdzie chciałaby pracować. Myślała o jakimś niekomercyjnym teatrze.

– W głowie miałam zakopiański teatr, bo uczyliśmy się o nim na studiach. Wiedziałam, że jest bardzo artystyczny i inny niż najbardziej znane, sztampowe teatry w Polsce. Kiedyś z Kamilem odbywaliśmy praktyki na Festiwalu

Ziem Górskich w Zakopanem i postanowiłam, że zostawię w teatrze swoje CV. Może się odezwą, a może nie... Było to pierwsze CV, które gdziekolwiek złożyłam. Po jakimś czasie zaprosili mnie na przesłuchanie. Potem wszystko poszło już lawinowo – wspomina 30-latką.

Kamil dołączył do teatralnej ekipy pół roku po niej. Para zdecydowała, że oboje muszą zamieszkać w Zakopanem, jeśli chcą być razem.

– Oboje kochamy góry i one też nas przyciągnęły – przyznaje Agnieszka. – Samo Zakopane jest trudne i dziwne, bo jest to miejscowość turystyczna i nie do końca się nam podoba jako miasto. Poza tym jest bardzo małe. Jednak góry rekompensują wszystko. Mamy blisko naturę, do której możemy zawsze uciec.

Z Zakopanego nie jest też daleko do Nowego Sącza, gdzie mieszka rodzina Agnieszki. Zawsze można wpaść do rodziców na niedzielny obiad. Kamil pochodzi z okolic Warszawy, więc odwiedziny u jego bliskich to już większa wyprawa.

Teatr Witkacego

Moje początki w teatrze wspominam bardzo dobrze, bo zespół jest cudowny. Przyjęli mnie fantastycznie i pomogli odnaleźć się w tej nowej sytuacji. Bardzo otwarcie podeszli do tego, że ktoś z zewnątrz dołączył do ich grona. Byli mnie ciekawi i bardzo szybko „wciągnęli mnie w swoje kręgi”, pokazali swoje zwyczaje. Nie będę jednak ukrywać, że się stresowałam. Czulałam taką wewnętrzną presję, że muszę udowodnić sobie i innym, że się nadaję. Tym bardziej, że to miejsce bardzo mnie intrygowało i czulałam, że chcę w nim być – wspomina artystka.

Agnieszka przyznaje, że zakopiański teatr jest specyficzny. Praca aktorów nie ogranicza się tylko do występów scenicznych.

– Zajmujemy się wszystkim: od kostiumu, który musimy sami przygotować, przez rekwizyty, zmianę dekoracji, a nawet ustawianie krzeseł na widowni. Uczestniczymy w życiu teatru nie tylko przez to, że

Jest jakoś ogólnie wpojone, że teatr to „święte miejsce” i ludzie wolą siedzieć cicho, elegancko się zachowywać. Powinno być na odwrót, mogą przecież wyrażać to, co czują w danym momencie

ANS AKADEMIA NAUK STOSOWANYCH W NOWYM SĄCZU

2023 UCZELNIA LIDERÓW

Rekrutacja na studia II stopnia / magisterskie w Wydziale Nauk Inżynieryjnych

- INFORMATYKA
- MECHATRONIKA
- ZARZĄDZANIE I INŻYNIERIA PRODUKCJI

ans-ns.edu.pl



Partnerzy wydania:





wchodzimy na scenę i gramy, ale robimy wiele pobocznych rzeczy, których zazwyczaj aktorzy nie wykonują. Mamy na przykład dyżury przy drzwiach i wpuszczamy ludzi, sprawdzamy bilety.

Ogrom obowiązków zmusza do mieszkania w Zakopanem. Ponieważ ekipa tak często ze sobą przebywa, atmosfera jest prawdziwie rodzinna. Zdarza się, że nawet wakacje aktorzy spędzają razem, wyjeżdżając na wspólny urlop. Z drugiej strony, taka praca jest poświęceniem, bo uniemożliwia np. regularne wyjazdy na castingi do Warszawy.

W teatrze Witkacego w ciągu roku mają miejsce przeważnie 2-3 premiery. Latami grane są te same spektakle, bo publiczność się nieustannie zmienia – na widowni zasiadają głównie turyści z całej Polski oraz z zagranicy. W ciągu sześciu lat pracy sędzianki w Zakopanem tylko jeden spektakl zszedł z afisza i to ze względów obsadowych. Pozostałe wciąż są grane regularnie, a jest ich około dziesięć.

Scena

Kiedy wchodzę na scenę, jestem w innej czasoprzestrzeni. Wydaje mi się, że czuję wtedy to, co moja postać. Przed występem zawsze jest lekki stres, trema, ale taka pozytywna, a jak już wchodzę na scenę, to robię swoje – zdradza Agnieszka.

Jak mówi, wcielanie się w ciągu jednego tygodnia np. w pięć różnych ról nie jest łatwe, ale niejako utrzymuje aktora w zawodowej kondycji.

– Ja to lubię. Nie jesteś w stanie się znudzić. Mam kilka ról, które bardzo lubię. Np. w spektaklu „Hotel Utopia” gram babcię. To jest dla mnie ciekawe fizycznie, żeby zagrać starszkę jako młoda dziewczyna. W spektaklu na podstawie tekstów Różewicza o nazwie „Akt przerywany” wcielałam się w kilka postaci, między innymi w dziewczynę w futrze i mam swój krótki monodram, później przebieram się za Barbie. W tym samym spektaklu jestem też pielęgniarką. Im więcej wyzwani, tym ciekawiej. Nie mam roli, której nie lubię grać. Zawsze staram się odnaleźć w tym, co dostaję. Pracując nad nowym spektaklem, czuję się trochę jakbym debiutowała.



FOT. IWONA TOPOROWSKA

– Boli cię głowa albo jest kiepska pogoda, masz gorszy dzień, związany z jakimiś prywatnymi przeżyciami... Trzeba to wszystko zostawić przed wejściem na scenę, nie myśleć o tym – mówi Agnieszka Michalik.

Artystka wyjaśnia, że nie da się dwa razy zagrać dokładnie tak samo. Na występ wpływa wiele czynników, z którymi trzeba sobie umieć radzić.

– Boli cię głowa albo jest kiepska pogoda, masz gorszy dzień, związany z jakimiś prywatnymi przeżyciami... Trzeba to wszystko zostawić przed wejściem na scenę, nie myśleć o tym.

Agnieszka opowiada, że podczas występów zdarza się mnóstwo niespodziewanych sytuacji, na które trzeba umieć reagować. Aktor nie może tracić czujności i grać „automatycznie”. Czasem ktoś zapomni tekstu, przejęczy się albo przewróci, komuś spadnie but lub zsunie się kostium.

– W takiej sytuacji profesjonalizm polega na tym, aby to ograć. Widz się nawet nie orientuje, że tak nie miało

być – mówi. – Spektakl zawsze jest żywy, za każdym razem inny. Zmienia się też widownia. Trzeba się nauczyć spontaniczności, reagowania na żywo. Czasem musimy coś mocniej zaakcentować, innym razem odpuścić, wyczuwając, jaka jest energia publiczności. Kontakt z żywym widzem to cały urok teatru.

Przyznaje, że teatr, który w czasie pandemii przeniósł się do internetu, stracił wiele ze swojej siły. Reakcja publiczności jest dla aktorów ogromnie ważna.

– Ludzie często kłepują się w teatrze. Próbuje oswoić ich z tym, że mogą mieć prawdziwe, naturalne reakcje. Choć jest jakos ogólnie wpojone, że teatr to „święte miejsce” i ludzie wolą siedzieć cicho, elegancko się zachowywać. Powinno być

na odwrót, mogą przecież wyrażać to, co czują w danym momencie.

Aktorzy Teatru Witkacego wiele razy występowali w rodzinnym mieście Agnieszki – Nowym Sączu. Dzięki temu m.in. babcia mogła zobaczyć ją na scenie. Rodzice natomiast pojawiają się na każdej premierze w Zakopanem. Bliscy bardzo wspierają Agnieszkę w tym, co robi. Są dumni.

– Cenię sobie, kiedy są szczerzy. Lubię, kiedy opowiadają, co przeżyli w trakcie spektaklu i jakie wywołało to w nich uczucia i emocje.

Razem

Kamil i Agnieszka zazwyczaj grają w tych samych spektaklach, jednak jeszcze nigdy nie obsadzono ich w roli pary.

– Jeden spektakl stworzyliśmy sami. Nazywa się „Chrobot, czyli Na Przełęczach Bezsensu”. To nasz autorski spektakl ruchowy, do którego inspiracją było malarstwo, filozofia oraz Teoria Czystej Formy Witkacego. Powstał on w ramach Sceny Propozycji Aktorskich w naszym teatrze, czyli projektu umożliwiającego aktorom spróbowania swoich sił w reżyserii i produkcji spektaklu.

Małżeństwo bierze też udział w różnych projektach związanych z tańcem czy z performance. Lubią tego typu działania, niektóre dokładnie wyreżyserowane, inne spontaniczne. Czy jednak niemal nieustannie przebywanie razem nie bywa męczące?

– Bardzo lubię pracować z Kamilem, bo jest profesjonalny w tym, co robi. Czuję do niego ogromne zaufanie, kiedy gramy i kiedy partneruje mi w tańcu. Ale faktycznie jest tak, że żyjemy razem, pracujemy razem i przebywamy ze sobą praktycznie non stop. Nie będę ukrywać, że są takie momenty, że chciałoby się wrócić do domu i odciąć od pracy, a nie zawsze jest to możliwe. Jak jesteś po stresującej, czy emocjonującej próbie, to o tym gadasz w domu. Nie umiemy się całkowicie odciąć. Chociaż czasami sobie ustalamy, że idziemy na obiad i w ogóle nie rozmawiamy w tym czasie o teatrze. Ale jest to trudne, bo cały czas te sprawy dotyczą nas obojga, i te dobre i te złe – mówi aktorka.

Nie tylko teatr

Agnieszka od zawsze tańczyła i to zostało z nią do dziś. W Zakopanem wykorzystuje taniec na scenie, ale i uczy go innych – zarówno młodzież, jak i dorosłych.

Zawsze też śpiewała, choć jak zaznacza, wcześniej brakowało jej odwagi, by robić to profesjonalnie.

– Wydawało mi się, że nie umiem tego robić na tyle dobrze. Ale już na studiach założyliśmy swoją kapelę. To był taki zespół rockandrollowy i śpiewałam w chórkach. Kiedy koledzy zapytali, czy chciałabym dołączyć do ich składu, czułam się wyróżniona, ale i zawstydzona.

W tym roku wzięła udział w wokalnej rywalizacji.

– Przygotowałam recital na podstawie tekstów Jonasza Kofty. Kompozytor naszego teatru stworzył dla mnie muzykę. Powstało dziesięć piosenek, taki minispektakl. Pojechałam na konkurs piosenek Kofty w Warszawie, gdzie zdobyłam trzecie miejsce oraz na konkurs piosenki aktorskiej w Łodzi i dostałam się tam do finału.

Sędzianka ma też na swoim koncie kilka filmowych ról epizodycznych, np. w filmie o Kalinie Jędrusik zagrała... manekina. Niestety, większość produkcji filmowych prowadzonych jest w Warszawie, a napięty harmonogram utrudnia wyjazdy na castingi.

Agnieszka Michalik przyznaje, że aktorstwo uczy ją pewności siebie, pomaga pokonywać wewnętrzne bariery, walczyć ze schematami czy uprzedzeniami, otwierać się na innych i budzić nieustanną ciekawość. Pomaga też w pewien sposób łączyć życiową wszechstronność.

– Dzięki aktorstwu można wcielać się w różne postaci, zaznać różnych stanów emocjonalnych. Kiedy zagram surową nauczycielkę, biedną kobietę ze wsi, czy porzuconą przez ukochanego dziewczynę, mogę poczuć się jak one, a to rozwija we mnie wrażliwość na drugiego człowieka. Mogę doświadczyć całego przekroju społecznego, różnych zawodów i emocji. Otwiera to głowę na fakt, że ludzie są różni i to jest piękne.

REKLAMA

Szanowni Państwo,
Z wyrazami wielkiej wdzięczności za serce i wszelką pomoc okazaną naszym podopiecznym,
ludziom chorym i cierpiącym składamy serdeczne życzenia świąteczne.

Niech łaska Bożego Narodzenia spłynie na Was, Wasze Rodziny i Przyjaciół!
Spokoju, miłości, powodzenia w ważnych zamierzeniach
oraz satysfakcji z dzielenia się dobrem na nowy rok
życzą

Zarząd, Pracownicy i Wolontariusze Towarzystwa Przyjaciół Chorych

Świąteczne Haspizjum

Partnerzy wydania:





**PRAWNIK
MEDIATOR
PSYCHOLOG
PSYCHOTERAPEUTA**

BEZPŁATNIE

**INTERWENT KRYZYSOWY
TERAPEUTA RODZINNY
PEDAGOG**

Poradnia "Arka" w Nowym Sączu
ul. Jagiellońska 13, I p
oraz Plac Kolegiacki 1



Nowy Sącz
Miasto Królewskie

Rejestracja telefoniczna

18 547 49 70 wew. 1

PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY Z BUDŻETU MIASTA NOWY SĄCZ

NOWOCZESNE HYBRYDOWE SUV-Y FORDA



Wejdź na wyższy poziom komfortu wybierając hybrydowego
SUV-a Forda dostępnego od ręki.

Korzyść finansowa z ubezpieczeniem samochodu na rok:
Ford Puma do **25 000 PLN***
Ford Kuga do **37 000 PLN***

Ponad to **Pakiet 4 lata ochrony**: Ford Protect, gwarancja i serwis w cenie*.

Ford | BRING ON
TOMORROW

Wikar 33-300 Nowy Sącz, ul. Węgierska 168, tel.: 18 414 0 414, www.wikar.pl

* Szczegóły w salonach Wikar lub na wikar.pl

Średnie zużycie paliwa i emisja CO₂ na podstawie pomiarów w cyklu WLTP (Światowa zharmonizowana procedura badań pojazdów lekkich): Forda Puma 1.0 EcoBoost Hybrid 125 KM, M6, Titanium X, Euro 6.2: 5.4-6.0 l/100 km; 122-135 g/km, Forda Kuga 2.5 FHEV 190 KM, eCVT, AWD, Titanium X, Euro 6.2: 5.7 - 5.8 l/100 km; 130-133 g/km. Na zdjęciu Ford Puma EcoBoost Hybrid i Ford Kuga Plug-in Hybrid z wyposażeniem opcjonalnym.

Partnerzy wydania:





Taki sobie postawiłam cel: rozgrzanie zziębniętych serc

Rozmowa z MAGDALENĄ KORDEL, mistrzynią świątecznych opowieści

– Od wielu lat co roku możemy przeczytać Pani nową powieść świąteczną. Dlaczego zdecydowała się Pani pisać powieści o takiej tematyce?

– Czas około świąteczny i świąteczny jest bardzo szczególny. Na ludzi ten moment w roku też działa w bardzo specyficzny sposób. Im bliżej do świąt, tym wszystko czuje się bardziej i mocniej. Bardziej niż kiedykolwiek tęskni się do rodzinnych domów, do bliskich, częściej myśli się o tych, którzy są daleko, bardziej odczuwa się samotność i lęk przed pustymi miejscami przy stole. Bardzo często też zapomina się, czym tak naprawdę są święta. „Opędza się” je, kupując prezenty, strojąc dom, przygotowując wystawne dania. A przecież świąt nie da się kupić. W świątach najważniejszy jest drugi człowiek. I to, że rok w rok 24 grudnia na świat przychodzi Małenka Miłość, która zostaje z nami na kolejne miesiące. Z tego powodu zdecydowałam się pisać powieści zimowe. Chcę przypominać o tym, co najważniejsze, o tym, że to my możemy być dla siebie tymi aniołami, których tak pilnie wyglądamy, że tak naprawdę to my czynimy cuda. A cuda bywają różne. Cud bycia razem, cud życzenia komuś dobrego dnia, cud przyniesienia ciężkiej siatki, cud upieczenia dla kogoś pierniczek. Piszę te opowieści również po to, żeby przytulić tych, którzy przytulenia potrzebują. Pragnę na nowo oswoić grudzień, by święta znów stały się czasem wyjątkowym. Taki sobie postawiłam cel: rozgrzanie zziębniętych serc.

– Opowieści świąteczne są szczególnie, niektóre przeszły do klasyki literatury jak np. „Opowieść wigilijna”. Czy w Pani najnowszej powieści „Świąteczko w oknie” także czuć „dickensowskie” duchy świąt?



FOT. RADEK KAZIMIERZAK

– W świątach najważniejszy jest drugi człowiek. I to, że rok w rok 24 grudnia na świat przychodzi Małenka Miłość, która zostaje z nami na kolejne miesiące – mówi Magdalena Kordeł.

– Mam wrażenie, że w życiu każdego człowieka pojawiają się takie duchy. Czasu przeszłego, teraźniejszego i przyszłego. Z przeszłością trzeba się uporać i oswoić ją na tyle, żeby pozwoliła nam iść naprzód. Z teraźniejszością również, bo to właśnie tu i teraz podejmujemy decyzje, które wprowadzą nas w jutro. Z tym samym muszą zmierzyć się bohaterowie mojej najnowszej powieści. Trzy

duchy świąt mają sporo do zrobienia w ich życiu. Ich liczba odgrywa ważną rolę – 3 to magiczna cyfra. W różnych kulturach przypisuje się jej najróżniejsze znaczenia. Symbolizuje siłę i harmonię. Występuje w baśniach: trzy życzenia, trzy siostry, trzech braci. W „Świąteczku w oknie” są trzy córki, trzy bohaterki, które mają sporo spraw do przepracowania i muszą na nowo ułożyć sobie

życie. Nadchodzi trzeci grudnia i każda z nich ma życzenie – jest ich łącznie trzy. Dodatkowo występują trzy duchy świąt. I już nie ma wyjścia. Musi zadziać się magia. A ja wierzę w znaki, życzenia i w moc liczby trzy. Przynosi mi szczęście i mam nadzieję, że Czytelnikom również je przyniesie.

– Jakie są tradycje bożonarodzeniowe w Pani domu?

– Właściwie wszystko opiera się na byciu razem i to stało się swoistą tradycją. Wspólnie robimy listę zakupów, wspólnie dekorujemy dom, wspólnie ubieramy choinkę... Tradycyjnie rodzinnie pieczemy pierniczki, na choince pojawiają się bombki „pokoleniowe”. Są tam ozdoby z mojego dzieciństwa, ale i te zrobione przez nasze dzieci i pieczolowicie przechowywane. W święta mamy też zwyczaj oglądania rodzinnych fotografii. Żeby nie zapominać.

– Choinka, bombki, aniołki, a może coś innego? – jaki jest dla Pani ten najbardziej szczególny symbol świąt?

– Dla mnie takim symbolem jest piernik. Właściwie od niego zaczynają się święta. Zaczęło się tak, jak zapewne dzieje się w wielu domach. Dzieci były małe, nadchodziły święta i w ramach wprowadzania się w świąteczny nastrój zazwyczaj piekłam z nimi pierniki. Ale po jakimś czasie, z roku na rok to „pierniczenie” nabrało nowego znaczenia. Stało się pretekstem, by ściągać do kuchni ważnych dla nas ludzi. W TEN DZIEŃ zaczęli pojawiać się nasi przyjaciele, przyjaciele naszych dzieci, przyjaciele przyjaciół. W tej chwili z dużym wyprzedzeniem ustalamy dzień pieczenia, tak żeby wszystkim udało się przybyć. I nie wiem, na czym to polega, ale w przygotowaniu pierników jest magia. One ściągają do kuchni wszystkich. Bez wyjątku. I wszyscy, pomimo niewielkiego metrażu, mieszczą się w tej kuchni. Mąka jest wszędzie, blaty wyma-

zane są lukrami, pachnie obłędnie. I ludzie zaczynają się uśmiechać. Gdybym chciała to ująć krótko, to podczas pieczenia jest gwaro, tłoczno i bardzo, bardzo wesoło. A potem przez kolejne dni w powietrzu unosi się zapach miodu, cynamonu, kardamonu i czegoś jeszcze, niesprecyzowanego. Chyba tak właśnie pachnie przedświąteczne szczęście.

– Czy bohaterowie „Świąteczko w oknie” powrócą do nas w przyszłym roku? Wielu czytelników na to liczy...

– Czy w przyszłym roku, tego nie mogę obiecać. Regularnej kontynuacji też chwilowo nie planuję. Ale ci, którzy czytają powieści mojego autorstwa, wiedzą, że znani im wcześniej bohaterowie potrafią pojawiać się znienacka w zupełnie innych historiach. I to akurat mogę przyrzec. Zapewne Kornelia i jej córeczki gdzieś kiedyś jeszcze odegrają istotną rolę. Też bardzo je polubiłam i już trochę za nimi tęsknię.

WYDAWNICTWO ZNAK



MAGDALENA KORDEL – ulubiona pisarka Polek, autorka bestsellerowych powieści i serii m.in. „Anioł do wynajęcia”, „Zagubiony Anioł”, „W blasku słońca”, „Tajemnice” czy „Małownicze”. Najnowsza jej powieść to bestsellerowe „Świąteczko w oknie”.

AUTOREKLAMA

dts 24

Zabierz DTS wszędzie z sobą.
Jedyna gazeta, która mieści się
w Twojej kieszeni.
I nigdy nie jest pomięta!
Czytaj nas na dts24.pl

Partnerzy wydania:



Najpierw przybliżył Sądeczanom niebo, a teraz chce ich zainteresować Bitcoinem



Absolwent nowosądeckiej Wyższej Szkoły Biznesu i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, twórca Mini Obserwatorium Astronomicznego w Siolkowej oraz od pół roku właściciel pierwszego stacjonarnego kantoru kryptowalut w Nowym Sączu. Krzysztof Bochenek nie przestaje zadziwiać Sądeczyny.

1 czerwca w Nowym Sączu otwarto pierwszy w tym regionie stacjonarny salon kryptowalut, gdzie można wymienić kryptowaluty na złotówki i odwrotnie - bez udziału giełd. Za tym pionierskim w naszym regionie przedsięwzięciem stoi nietuzinkowy Krzysztof Bochenek, który już kilka lat wcześniej zdołał przyciągnąć sobą uwagę Sądeczyny. Jeszcze jako student z czystej pasji stworzył w Siolkowej (miejscowości, z której pochodzi) w gminie Grybów Mini Obserwatorium Astronomiczne, które dostępne było (i wciąż jest) dla wszystkich zainteresowanych. Wymagało ono jednak każdorazowo zaangażowania Krzysztofa, dlatego, dzięki wsparciu kilku osób i pozyskaniu kolejnych funduszy, od połowy grudnia startuje nowy projekt: w Siolkowej na Wojciechowej Górze, obok Krzyża, na zamontowanej tam platformie widokowej, otwarte zostanie ogólnodostępne obserwatorium. Luneta umożliwi obserwacje bliskich i dalekich widoków i gór oraz gwiazd w nocy. Już teraz zapraszamy w to miejsce.

- Interesuję się kosmosem jak i naszym pochodzeniem. Jesteśmy dziećmi gwiazd - fizycznie jesteśmy stworzeni z pyłu który powstał po rozpadzie starych gwiazd. To my stanowimy dowód na istnienie życia w kosmosie. Póki co jesteśmy najlepszym znanym nam produktem tego wszechświata, choć ludzkość jest zaledwie pyłem, a ludzie dziś są śmiertelni. Chcę to przypominać i robię to za każdym razem. Bardzo możliwe, że jesteśmy stworzeni do dużo większych rzeczy niż praca, zdobywanie pieniędzy i gonitwa za rzeczami doczesnymi na tej planecie. Wszechświat lub wszechświaty podobno są nieskończone i nie potrafię tego objąć

swoim umysłem, tak samo tego, że dusza jest nieśmiertelna, ale bardzo mnie to fascynuje i żałuję, że nie urodziłem się co najmniej kilka tysięcy lat później. Najprawdopodobniej ludzkość w przyszłości wyhoduje nową rasę, opartą na sztucznej inteligencji, pozbawioną naszych biologicznych ograniczeń i to jest super. Chciałbym to zobaczyć. Może to jest właśnie ewolucja? Zobaczmy... - zastanawia się Krzysztof Bochenek.

Jednak nie tylko ta inicjatywa chłopaka z Siolkowej rozwija się z efektywnymi prognozami na przyszłość. Pół roku temu podjął decyzję o rozpoczęciu swojego biznesu i otworzył pierwszy na Sądeczynie stacjonarny kantor kryptowalut. Krzysztof podkreśla wtedy, że jest jeszcze za wcześnie dla naszego regionu na tego typu przedsięwzięcia. Kantor mimo to prężnie się rozwija i zdobywa coraz większą liczbę klientów, co przekłada się na realny wzrost zainteresowania tym tematem wśród lokalnej społeczności.

- Generalnie „krypto” to moje życie. Od kilku dobrych lat żyję wyłącznie z tego. Dziś próbuję edukować rynek, a przy tym pomagać ludziom bezpiecznie wejść w obszar kryptowalut. Edukuję - tłumaczę, że można kupić bitcoina, czyli bezpieczną kryptowalutę, i zachęcam ludzi do korzystania z portfeli własnych, dzięki którym sami zarządzają swoimi środkami. Jeśli dana osoba nic nie wie w temacie kryptowalut, to ja jestem w stanie w ciągu 15 minut pomóc jej zainstalować portfel i wytłumaczyć podstawy jego działania. Coraz więcej ludzi się do tego przekonuje a dzięki podjętym przeze mnie działaniom bezpiecznie wchodzi w ten rynek. Moim zdaniem kluczową kwestią jest tutaj zaufanie. Ludzie muszą wiedzieć, że mojemu kantorowi można zaufać, że kupując lub sprzedając u mnie kryptowaluty, nie zostaną oszukani - zaznacza szef nowosądeckiego kantoru Bitcoin Quark.

Bycie pionierem to nie jest prosta misja. Często wiąże się z mozolnym i wręcz rzemieślniczym wypracowywaniem odpowiednich praktyk i sposobów,

aby to, co nieznane, oswoić w oczach potencjalnych klientów. Krzysztof Bochenek podkreśla, że rynek nie jest duży, przez co zmuszony jest do walki o każdego klienta. Zaznacza jednak, że wbrew pozorom jest to rozwojowy temat. Co to oznacza? Że Sądeczyna posiada ludzi, którzy potrafią tworzyć swoje własne biznesy i rozwijać je.

- Nie chcę, żeby oni tylko sprzedawali kryptowaluty, ale także, aby nasz region zainteresował się tym tematem tak, by ludzie, którzy budują swoje biznesy, wchodzili w przestrzeń kryptowalut bądź zaczęli używać bitcoina czy kryptowalut w swojej działalności, a przy tym zainteresowali się przedsiębiorczością we wskazanym kierunku. Jeśli jakaś firma z okolicy chce rozliczać się w krypto lub wprowadzić na rynek nowy produkt oparty o blockchain, to mogę w tym pomóc - deklaruje Krzysztof Bochenek.

Mimo że na Sądeczynie kryptowaluty nie gwarantują jeszcze dużych zysków, Krzysztof Bochenek podkreśla, że jest nastawiony na długoterminowy biznes i zdaje sobie sprawę z tego, że jak każdy inny biznes tak i ten, wymaga podstawowego czynnika jakim jest czas. Właściciel kantoru spekuluje, że w ciągu dwóch lat rynek zmieni się i doświadczymy hossy, co spowoduje duże zainteresowanie społeczeństwa tematem kryptowalut. Dlatego obecnie buduje swoją bazę klientów i snuje plany rozwoju biznesu - poszerzenia go o sprzedaż kruszców takich jak złoto czy srebro oraz o usługę komisju kryptowalutowego, gdzie za pomocą tokenów można nabywać fizyczne dobra.

Wszyscy zainteresowani tematem, a przy tym chcący zasięgnąć wiedzy oraz spostrzeżeń od eksperta i osób posługujących się już bitcoinem, mogą skierować swoje kroki na spotkanie networkingowe organizowane przez Krzysztofa Bochenka 21 grudnia, na którym będzie można się poznać i zadać wszelkie nurtujące pytania w tematyce kryptowalut. Szczegóły wydarzenia dostępne będą na stronie nowysacz.quark.house

Partnerzy wydania:





Nowy Sącz
Miasto Królewskie

Zapraszam!

Ludomir Handzel

PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA

KONCERT NOWOROCZNY

W świetle musicalu



Paulina GROCHOWSKA-STEKLA



Damian ALEKSANDER



Aleksandra NIZIO



Michał GROBELNY

oraz Orkiestra

SINFONIA CARPATHIA

pod batutą Wojciecha ZWIERNIAKA

7 stycznia 2024 r. / godz. 18:00

Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu
Sala Widowiskowa / Al. Wolności 23

Bilety: 100 zł • 80 zł z Kartą Nowosądeczanina



Bilety do kupienia: www.mok.nowysacz.pl
oraz w kasie MOK / Al. Wolności 23
tel.: 500 27 37 27 / bilety@mok.nowysacz.pl

2024

Ludomir Handzel
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA

Partnerzy wydania:



BIBLIOTEKARZE MIKOŁAJAMI DLA MALEŃKIEJ WIKTORII WRÓBEL

Zachęcamy do zakupu stroików na rzecz Wiktorii Wróbel, które razem tworzyliśmy w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Nowym Sączu, w ramach 11 edycji projektu „Łączymy pokolenia”.

Każdy zakup to nie tylko piękna dekoracja dla Waszych domów, ale także gest solidarności i wsparcia dla Wiktorii. Stroiki są rozprowadzane przez fundację Siepomaga.pl na terenie Nowego Sącza oraz 20 grudnia, w czasie realizacji projektu „Łączymy pokolenia” w Centrum Kultury i Sztuki im. Ady Sari w Starym Sączu.

ŻYCZYMY WIKTORII I JEJ RODZINIE POWROTU DO ZDROWIA I SPOKOJNYCH ŚWIĄT

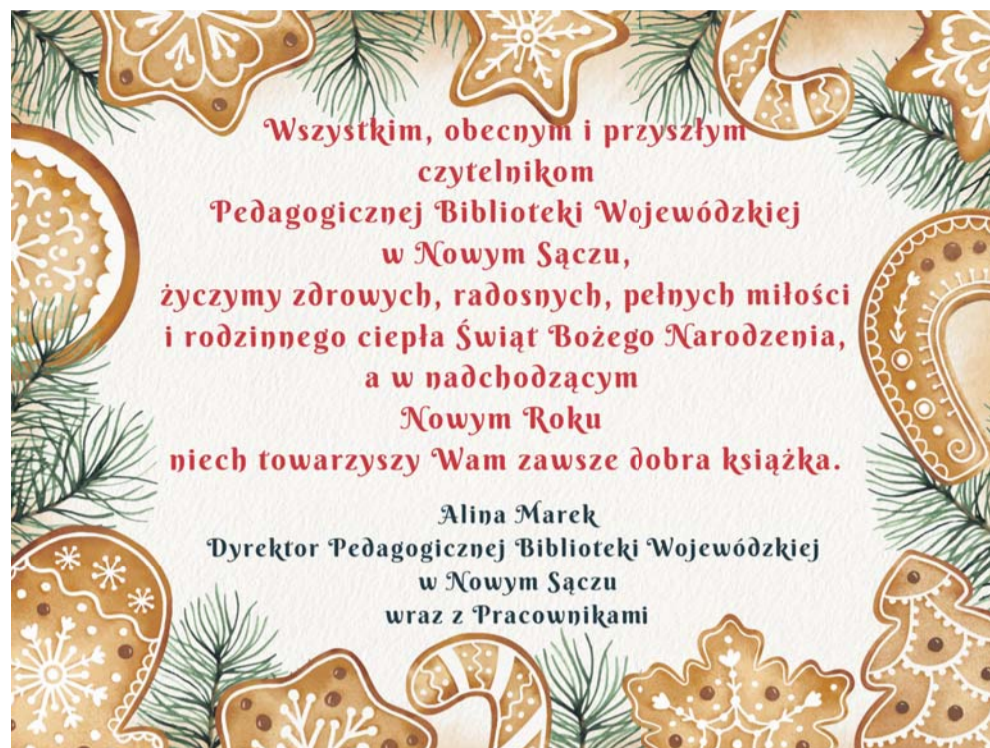


SREBRNY SMOK: MAGICZNE SPOTKANIE W BIBLIOTECE

Za nami niezwykle interesujące spotkanie autorskie z Barbarą Sadurską, autorką wielu ciekawych książek dla dorosłych i autorką książki dla dzieci „Srebrny smok”. W spotkaniu wzięli udział uczniowie klas piątych ze Szkoły Podstawowej nr 2 im. Świętej Jadwigi Królowej w Nowym Sączu. Serdecznie dziękujemy za bardzo ciekawe spotkanie. Dla wszystkich zainteresowanych książką „Srebrny smok” - informujemy, że już niebawem zagości na naszych półkach.



Partnerzy wydania:



MIKOŁAJKOWE WARSZTATY CZYTELNICZE



Oddział „0” Miejskiego Przedszkola nr 20 z Oddziałami Integracyjnymi w Nowym Sączu z wychowawczynią Iwoną Froehlich

Pomocnicy św. Mikołaja z Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Nowym Sączu opracowali specjalne, mikołajkowe warsztaty „Zagubione prezenty Mikołaja” i zaprosili do udziału w nich nauczycieli wraz z uczniami. Warsztaty trwały od 6-12 grudnia 2023 roku, adresowane były do uczniów klas „0” i 1-3.

Młodzi odkrywcy przenieśli się w świat magicznej przygody, gdzie biegun północny stał się miejscem niezwykłych poszukiwań. Każde dziecko było małym bohaterem, gotowym ocalić Święta Bożego Narodzenia! Dziękujemy wszystkim klasom za wizytę i zaangażowanie! Niech magiczna atmosfera Mikołajkowych przygód towarzyszy Wam przez cały okres świąteczny!

W warsztatach wzięło udział ponad 300 uczniów ze szkół podstawowych z miasta i powiatu nowosądeckiego



Młodzież Zespołu Szkół nr 1 im KEN w Nowym Sączu ze spektaklem świątecznym w Bibliotece 15 grudnia 2023r.

CO SIĘ STAŁO W PEDAGOGICZNEJ BIBLIOTECE WOJEWÓDZKIEJ?

Dnia 15 grudnia 2023 r., odbyła się uroczysta konferencja z okazji spektakularnej metamorfozy jaką przeszła Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Nowym Sączu. Wydarzenie otworzył Witold Kozłowski - Marszałek Województwa Małopolskiego. Wydarzenie było wyjątkowym momentem dla społeczności oświatowej, zgromadzonej licznie w nowych wnętrzach Biblioteki.

Marszałek Województwa Małopolskiego, podkreślił znaczenie Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Nowym Sączu dla rozwoju edukacyjnego regionu oraz wspierania i podejmowania przez nią inicjatyw związanych z edukacją i kulturą.

Odnowiona siedziba Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej została doceniona przez uczestników konferencji za nowoczesność form, odważne żywe kolory i miękkie fotele.

Dzięki wsparciu i życzliwości Pana Marszałka, cała inwestycja z wyposażeniem - wydatek blisko 1500 000 złotych, sfinansowana została z budżetu Województwa Małopolskiego.

Artystycznym akcentem uroczystości był występ młodzieży z Zespołu Szkół nr 1 im. KEN w Nowym Sączu.

Zaproszenie do udziału w uroczystości przyjęło ponad 100 gości, między innymi: Marta Mordarska i Stanisław Pasoń – Radni Województwa Małopolskiego, Poseł na Sejm RP Patryk Wicher, dyrektorzy wszystkich instytucji województwa małopolskiego z siedzibą w Nowym Sączu, przedstawiciele samorządów terytorialnych, Małopolskiego Kuratorium Oświaty, dyrektorzy szkół, przedszkoli, placówek oświatowych, bibliotek z miasta Nowego Sącza i całego Subregionu Sądeckiego, przedstawiciele współpracujących z Biblioteką instytucji pozaoświatowych



Witold Kozłowski Marszałek Województwa Małopolskiego, Alina Marek Dyrektor PBW



Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka –zaproszeni goście

oraz radni Młodzieżowej Rady Miasta Nowego Sącza.

Alina Marek – dyrektor biblioteki serdecznie dziękowała Wszystkim Gościom za udział i zaprosiła wszystkich obecnych i przyszłych czytelników do wizyty w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej ul. Jagiellońska 61, do czytania, do dzielenia się pomysłami i przede

wszystkim do wypożyczania książek, gier planszowych i osobistego rozwoju.

A od stycznia nowa oferta - w tym codzienne dyżury i wsparcie psychologów dla młodzieży sądeckich szkół, maturalne powtórki i Teatr BIBLIOTEKA.

WIĘCEJ INFORMACJI : WWW.PBWNOWYSACZ.PL ORAZ FB

Partnerzy wydania:



CO BIBLIOTEKĘ ŁĄCZY Z JAPONIĄ, CZYLI ZAJĘCIA DLA DZIECIĘCEGO UNIWERSYTETU I-GO WIEKU WSB-NLU

Nasza biblioteka miała zaszczyt uczestniczyć w niezwykłych zajęciach zorganizowanych w ramach Dziecięcego Uniwersytetu Pierwszego Wieku Wsb - Nlu. Tematem tego fascynującego spotkania były plotki i teatr kamishibai.

Przygotowując się do wydarzenia, zespół bibliotekarzy był pełen entuzjazmu i determinacji, by uczynić to spotkanie niezapomnianym. Przestrzeń wydarzenia została zaadoptowana w taki sposób, aby stworzyć atmosferę sprzyjającą zarówno refleksji, jak i twórczej ekspresji.

W pierwszej części warsztatów, uczestnicy mieli okazję zgłębić temat szkodliwości plotki. Spotkanie, prowadzone przez nauczycieli bibliotekarzy, miało na celu nie tylko zwrócenie uwagi na negatywne aspekty plotkowania, ale także rozwijanie umiejętności skutecznego przeciwdziałania temu zjawisku.

Drugą część spotkania przenieśliśmy do Japonii, gdzie dzieci mogły zgłębić tajniki teatryku kamishibai. Ilustrowane plansze, kolorowe obrazy, i wspólna kreatywna prezentacja tworzyły atmosferę niezwykłej integracji i edukacji.

Zakończyliśmy spotkanie z satysfakcją, patrząc na naszą bibliotekę jako miejsce, gdzie ludzie mogą nie tylko wypożyczać książki, ale także uczestniczyć w interaktywnych, inspirujących wydarzeniach. Jesteśmy dumni, że mogliśmy być częścią tego wyjątkowego wydarzenia, które z pewnością zostawi ślad w naszych sercach.

ZAPRASZAMY NA JAGIELLOŃSKĄ 61!





dobrych świąt

MAŁOPOLSKA

Życzymy Państwu, aby zbliżające się Święta Bożego Narodzenia i magiczna moc Wigilijnej Nocy obdarzyła Nas wszystkich zdrowiem i radością, a nadchodzący Nowy Rok przyniósł wyczekiwany spokój i wytchnienie. Niech każda podróż, w którą wyruszamy będzie spokojna i bezpieczna, a czas spędzony z bliskimi płynie w rytmie najpiękniejszych kolęd i pastorałek.



INSTYTUCJA
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

Marek Pławiak
Dyrektor Małopolskiego Ośrodka
Ruchu Drogowego w Nowym Sączu

Partnerzy wydania:



Modernizacja ulicy Dunajcowej

Trwa ofensywa remontowa na nowosądeckich drogach. Tym razem na os. Helena, gdzie rusza kolejny etap modernizacji ul. Dunajcowej. Prezydent Ludomir Handzel podpisał właśnie umowę na remont nawierzchni i budowę chodnika, a także na montaż nowoczesnego oświetlenia typu LED na odcinku prawie 200 metrów. - To inwestycja w bezpieczeństwo nowosądeczan - podkreśla prezydent.



Ruszyło kryte lodowisko

Już od 2 grudnia nowosądeczanie mogą korzystać z krytego lodowiska mieszczącego się przy ul. Nadbrzeżnej 34. Zimowa atrakcja czynna jest przez cały tydzień - od poniedziałku do czwartku w godzinach od 8 do 19.30, w piątek od 8 do 20.30, natomiast w soboty i niedziele od 9.30 do 21. Bilety można zakupić online pod adresem: <https://bilety.mosir-ns.pl/>, zaś na posiadaczy Karty Nowosądeczanina czeka atrakcyjna zniżka. Na miejscu można wypożyczyć łyżwy lub też je zaostrzyć



Przebudowa ul. Górki Zawadzkie

6 grudnia ruszyła kompleksowa przebudowa ul. Górki Zawadzkie na os. Zawada. Prace remontowe obejmują odcinek o długości 120 m od ul. Nawojowskiej. W ramach modernizacji przewidziano roboty przygotowawcze i rozbiórkowe, wymianę nawierzchni asfaltowej wraz z podbudową, budowę chodnika z brukowej kostki betonowej oraz poprawę zjazdu do ul. Nawojowskiej. Mieszkańcy mają możliwość dojazdu i dojścia do swoich posesji, natomiast objazdy prowadzone są ulicami: Nawojowską, Juranda i Mała Poręba.



MPEC zakończył dwie kluczowe inwestycje

Mowa tutaj o wysokosprawnej kogeneracji gazowej o mocy 6MW oraz budowie kotła na biomasę o mocy do 3 MW. Dzięki tym inwestycjom ilość energii wytwarzanej z węgla spadnie o 50 procent, co stawia Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w czołówce polskich przedsiębiorstw wdrażających ekologiczne rozwiązania. Dodatkowo MPEC stał się elektrociepłownią, która może wyprodukować energię zaspokajającą potrzeby 2/3 gospodarstw w Nowym Sączu. - W ciągu ostatnich lat zainwestowaliśmy w spółkę kilkadziesiąt milionów i dalej będziemy stawiać na rozwój. Idziemy naprzód - podkreśla prezydent Ludomir Handzel.




GALERIA

Trzy**Korony**

ROZDAJEMY CHOINKI!

W dniach **14-21.12** zrób zakupy
za min. **250zł**, zgłoś się z paragonem do
Punktu Obsługi Klienta, a otrzymasz kupon,
który upoważni Cię do odbioru **CHOINKI!**

Szczegóły akcji na  i na www.galeriatrzykorony.com.pl

Partnerzy wydania:





Jak spędzić święta z rodziną i się nie pokłócić

Różnice poglądów i wartości stają się często zarzewiem konfliktów podczas rodzinnych spotkań. W tym roku, po ostrej kampanii wyborczej, święta w wielu polskich domach mogą być szczególnie trudne. Fundacja Nowej Wspólnoty wychodzi z inicjatywą, mającą na celu złagodzenie domowych sporów. Wskazówki zebrane w poradniku „Jak rozmawiać przy wigilijnym stole” pomogą Polkom i Polakom dogadać się z najbliższymi – mimo różnic poglądów.

Boże Narodzenie, kojarzone zazwyczaj z atmosferą miłości i spokoju, paradoksalnie stanowi czas, w którym najłatwiej o spięcia w rodzinnym gronie. Stół wigilijny, na pozór idealne miejsce do rozmów, często zamienia się w arenę, na której wchodzimy sobie w słowo, nie zgadzamy się ze sobą i dajemy się ponieść emocjom. Z powodu różnic poglądów i wartości nie zawsze potrafimy zaakceptować zdanie drugiej strony i często idziemy na konfrontację. W rezultacie w wielu rodzinach święta zamieniły w nieprzyjemny obowiązek do wypełnienia.

Jak uniknąć rodzinnego konfliktu

W rodzinie różni nas nie tylko polityka – także styl życia, stosunek do religii, wiek czy miejsce zamieszkania. Często nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo te różnice wpływają na naszą zdolność do otwartej rozmowy. Wystarczy wyobrazić sobie spotkanie dwóch kuzynek żyjących na co dzień według odmiennych wartości. Jeśli założymy, że dla jednej z nich najważniejsza jest rodzina, dom i wiara, a druga stawia przede wszystkim na samorealizację i możliwość decydowania o sobie, to pole porozumienia między spokrewnionymi kobietami gwałtownie się zawęża. Każda rodzina posiada własny katalog spornych tematów, które mogą prowadzić do konfliktów i kłótni. Mogą – ale nie muszą!

Poradnik dobrej świątecznej rozmowy

Z myślą o Bożym Narodzeniu Fundacja Nowej Wspólnoty przygotowała poradnik zawierający cenne wskazówki, jak nastawić się do rozmów w święta, jak zapobiec konfliktom, a równocześnie wzmacniać więzi i lepiej poznać bliskich, obecnych przy stole. Obecność rodziny to okazja, by zrozumieć i docenić, jak wiele nas łączy. W materiale można znaleźć m.in. porady pomagające złagodzić napięcia w rodzinie czy skierowywaniu rozmowy na bezpieczniejsze tory, bez zamykania spornych tematów pod dywan. Poradnik zawiera także „Przepis na świąteczną rozmowę”, który można wydrukować i powiesić na lodówce – a może nawet zaaranżować taką dobrą rozmowę we własnym domu.

– Boże Narodzenie to czas pojednania. Jesteśmy w naszych rodzinach bardzo różni – nie chodzi o to, by udawać, że tych różnic nie ma. Chcemy pokazać, że z nimi da się żyć – jeśli będziemy mieli dla siebie szacunek i życzliwość. W poradniku pokazujemy, jak to zrobić w naszych domach, by te najbliższe święta były łatwiejsze – mówi Wawrzyniec Smoczyński z Fundacji Nowej Wspólnoty. – Nasz program Polski Dialog pokazał, że Polacy umieją się dogadać nawet, jak mają przeciwne poglądy. To się udaje, gdy

Partnerzy wydania:

Jak porozmawiać, żeby się dogadać?

Zamiast reagować na kryzys możesz zaproponować rodzinie spokojną rozmowę o poglądach. Oto przepis:



Przepis na świąteczną rozmowę

1. Umówcie się na takie zasady:

- Nie chcecie się pokłócić
- Każdy ma prawo do szacunku i swojego zdania
- Nikt nie będzie nikogo nawracał na swoje poglądy.



2. Potem wybierzcie jeden temat do rozmowy i:

- Niech każdy po kolei powie, co myśli na ten temat
- Nie przerywajcie. Nie oceniacie tego, co mówi ktoś inny
- Posłuchajcie z ciekawością, co mówi każda osoba
- Zamiast krytykować, zapytaj: „Kiedy zacząłeś tak myśleć?”
- Zamiast atakować, powiedz: „Ja mam inaczej. Myślę, że...”

3. Macie różnice poglądów w rodzinie? To normalne! Na koniec:

- Zapytaj wszystkich: „A co nas łączy? W czym się zgadzamy?”



Chcesz porozmawiać z ludźmi o innych poglądach? Wejdź na polskidialog.pl



z szacunkiem słuchamy innych, gdy jesteśmy życzliwi wobec osób myślących inaczej niż my i gdy zachowujemy spokój, wygłaszając własne poglądy – dodaje.

Otwartość na innych

Polski Dialog to dwuletni program, zainicjowany przez Fundację Nowej Wspólnoty, którego celem jest zmniejszenie podziałów między Polkami i Polakami, poprzez naukę skutecznej komunikacji.

– Polski Dialog to miejsce, gdzie ludzie o różnych poglądach mogą się spotkać i uczyć rozmowy na sporne tematy bez kłótni. Jesteśmy mocno podzieleni, żyjemy w bańkach poglądów i przekonani. Nie słuchamy i nawet nie chcemy słuchać. Rozmowa nie polega na tym, że kogoś przekonasz do swoich racji, tylko że się wysłuchacie i zrozumiecie nawzajem. Świąteczny poradnik pokazuje, jak to zrobić w rodzinie – komentuje Wawrzyniec Smoczyński.

Treningi dobrej rozmowy

W wydarzeniach Polskiego Dialogu wzięło już udział pół tysiąca osób z

całej Polski. Fundacja organizuje rozmowy na sporne tematy z bieżącej debaty społecznej i politycznej – przez dwa lata przeprowadziła ich ponad 50. Oprócz tego prowadzi też treningi dobrej rozmowy – darmowe warsztaty, na których uczestnicy ćwiczą umiejętności rozmawiania na sporne tematy. Rozmawiając z nieznanymi w parach i w grupie, przygotowują się do rozmów z bliskimi, przyjaciółmi czy kolegami z pracy. Wszystko odbywa się online.

Na 2024 rok fundacja zapowiada kolejne inicjatywy, które pomogą Polkom i Polakom załagodzić spory światopoglądowe i znaleźć wspólny język. Jak podkreśla Wawrzyniec Smoczyński, kluczem do porozumienia w Polsce nie jest wygrana jednej lub drugiej opcji, tylko przywrócenie zdolności rozmowy w poprzek podziałów. A to zaczyna się od wzajemnego szacunku, ciekawości i życzliwości dla siebie nawzajem.

PORADNIK POLSKIEGO DIALOGU
JEST DARMOWY I DOSTĘPNY NA STRONIE:
[HTTPS://POLSKIDIIALOG.PL/](https://polskidialog.pl/)

FUNDACJA NOWEJ WSPÓLNOTY

dts²⁴

Wydawca:
Wydawnictwo DOBRE
Sp. z o.o. 33-300 Nowy Sącz,
ul. Żywiecka 25.
ISSN 2082-209X.

Redakcja:
„Dobry Tygodnik Sądecki”,
www.dts24.pl,
tel. 18 544 64 41,
redakcja@dts24.pl

Redaktor naczelny Wydawnictwa Dobre:
Wojciech Molendowicz,
w.molendowicz@dts24.pl

Z-ca redaktora naczelnego
ds. gazety DTS:
Jolanta Bugajska,
j.bugajska@dts24.pl

Redaguje Zespół:
Katarzyna Gajdosz-Krzak,
Iwona Kamieńska,
Dawid Kulig,
Agnieszka Małecką,
Kinga Nikiel-Bielak,
Ireneusz Pawlik,
Natalia Sekuła

Redaktor senior:
Jerzy Wideł

Dyrektor Biura Reklam i Ogłoszeń:
Katarzyna Magiera,
k.magiera@dts24.pl,
tel. 530 032 633

Biuro Reklam i Ogłoszeń:
Bożena Baran,
b.baran@dts24.pl
Beata Ziemba,
b.ziemba@dts24.pl,
tel. 889 020 766

Dyrektor ds. kolportażu:
Mateusz Węglowski-Król,
tel. 665 270 230

Grafika i tkanie:
Zuzanna Płachta

Druk:
Polska Press Grupa
Oddział Poligrafia Drukarnia Sosnowiec.



OKNA DRZWI

Nowy Sącz, ul. Elektrodomowa 47, www.tradycja.biz

 **TRADYCJA**
FABRYKA OKIEN



Partnerzy wydania:



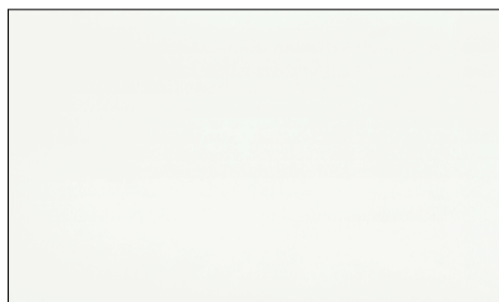
HiTy mrówki

GRUPA
psb

MRÓWKA

PODRZECZE

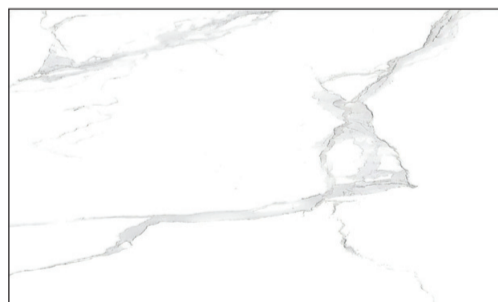
OFERTA WAŻNA
od 19.12 do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.



34⁹⁹ zł
m²

**Płytki ścienna, glazura
White Shiny**

wym. 30x45 cm
I gatunek



33⁹⁹ zł
m²

**Płytki ścienna WALL
SATVARIO SHINY**

wym. 30x45 cm
I gatunek



52⁹⁹ zł
m²

**Płytki gresowa CEMENTO
SIENA DARK GREY LAPPATO**

wym. 60x60 cm
I gatunek



74⁹⁹ zł
m²

**Płytki gresowa CEMENTO
RIO POLISHED**

wym. 60x60 cm
I gatunek

Podrzecze 196, tel. 18 541 64 20, godz. otwarcia: pn.-pt.: 7⁰⁰ – 20⁰⁰, sob.: 8⁰⁰ – 18⁰⁰

HiTy mrówki

GRUPA
psb

MRÓWKA

PODRZECZE

OFERTA WAŻNA
od 19.12 do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.



68⁹⁹ zł
m²

Płytko gresowa STARDUST
CEMENTO PRAGUE

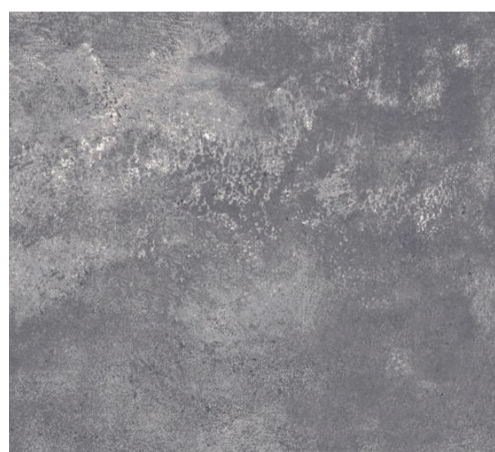
wym. 60x60 cm
I gatunek



48⁹⁹ zł
m²

Płytko gresowa WHITE
MARBLE MATT

wym. 60x60 cm
I gatunek



48⁹⁹ zł
m²

Płytko gresowa CEMENTO
BERLIN POLISHED

wym. 60x60 cm
I gatunek



68⁹⁹ zł
m²

Płytko gresowa STARDUST
COSTA DEL GRIGIO

wym. 60x60 cm
I gatunek

Podrzenie 196, tel. 18 541 64 20, godz. otwarcia: pn.-pt.: 7⁰⁰ - 20⁰⁰, sob.: 8⁰⁰ - 18⁰⁰